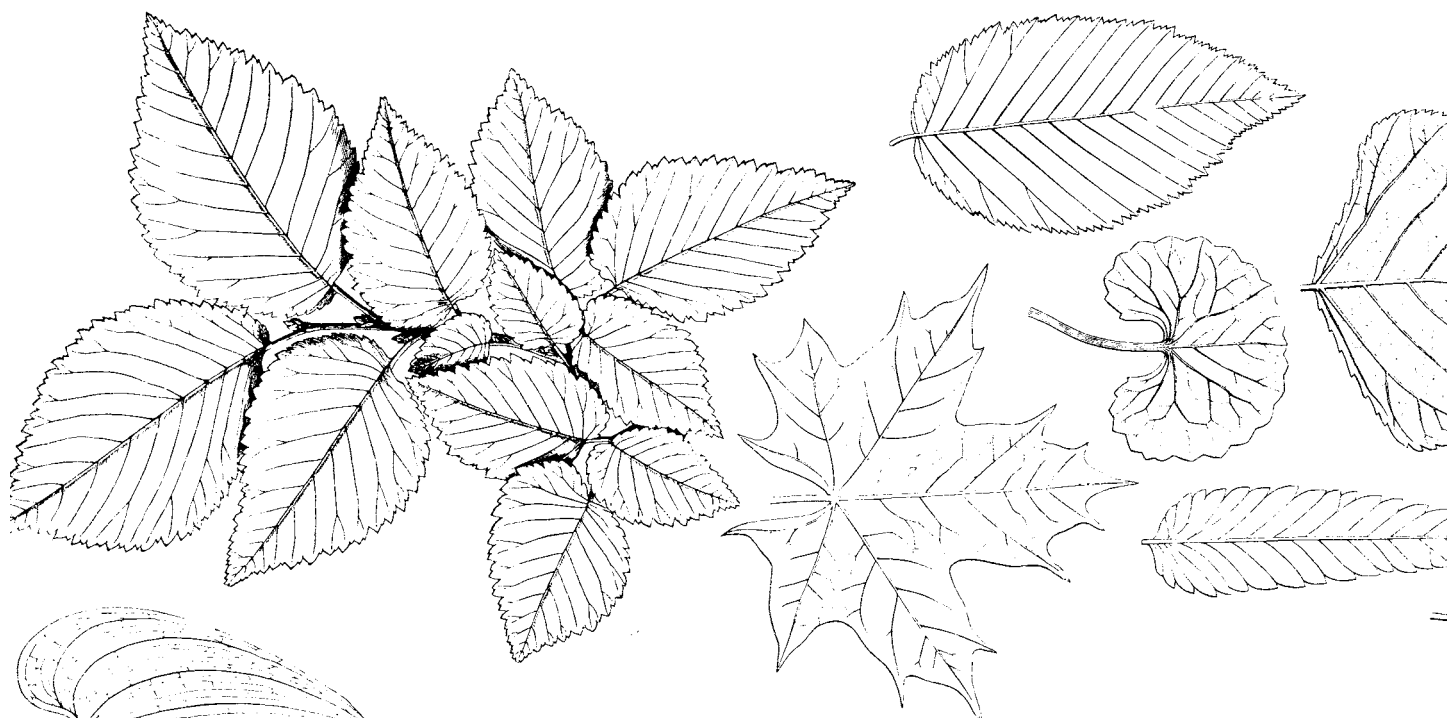


MIEJSKIE GRY W ZIELONE



Z inicjatywy Pracowni Studiów Miejskich 9 maja 2012 roku w Instytucie Kultury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się sesja naukowa pod hasłem *Zieleń miejska (w Warszawie). Inspiracje, analizy, paralele*. Uczestnikom sesji, reprezentującym różne dziedziny wiedzy (m. in. urbanistykę, architekturę krajobrazu, ekologię, historię kultury), zaproponowaliśmy, zamiast tradycyjnych wypracowań naukowych do tomu zbiorowego, przygotowanie krótkich i swobodnych tekstów, przedstawiających jednak stanowiska poznawcze oraz rezultaty dotychczasowych namysłów. Wprawdzie autorzy-eksperti przyjęli różne konwencje wypowiedzi i odnoszą się do rozmaitych realności, nie tylko warszawskich i krajowych, to jednak dzięki temu przedłożone teksty tworzą swoistą „sylwę”. Być może ten las rzeczy wniesie coś do refleksji nad miejskimi przestrzeniami zieleni i rekreacji, pomoże objaśnić, czy – a jeśli tak, to jak – Warszawa i inne metropolie „grają w zielone”.

Włodzimierz Pessel,
Igor Piotrowski

Wkładka dofinansowana ze środków Wydziału Polonistyki UW
na prace naukowe młodych pracowników.

Magdalena Staniszkiś Zielona polityka miejska w Warszawie. Spojrzenie architekta

Jesteśmy cywilizacją urbanizacji. Coraz więcej mieszkańców Ziemi żyje w miastach, w środowisku kultury, którą człowiek sam stworzył dla „dobrego życia” (Arystoteles) przekształcając pierwotne środowisko przyrodnicze. Pomimo tego, że żyjemy w miastach, to jednak jesteśmy jako gatunek uzależnieni od natury. Zatem współistnienie miasta i przyrody – kultury i natury – jest nie tylko kwestią dobrego samopoczucia ludzi, ale warunkiem przetrwania.

Natura w mieście to tereny zielone, które odpowiadają za szereg różnych funkcji. Każda forma miejskiej zieleni pełni funkcje podstawową dla życia, czyli klimatyczną. To właśnie tereny biologicznie czynne łagodzą, w mikroskali lub w skali całego miasta, negatywne skutki „wyspy ciepła”, jaką stanowią obszary zabudowane. Zieleni warunkuje naturalny cykl hydrologiczny, lokalnie obniża temperaturę powietrza i pozytywnie wpływa na jego wilgotność oraz umożliwia przewietrzanie miasta. Tereny zielone to także naturalne środowisko życia fauny, która wraz z florą tworzy ekosystem planety, a przetrwanie tego systemu, chociaż nie zawsze w pełni przez nas uświadomione, jest istotne dla utrzymania korzystnych warunków naszego życia. Zieleni w mieście wzbogaca i różnicuje krajobraz środowiska zbudowanego przez człowieka, a naturalne piękno przyrody można zaliczyć do egzystencjalnych wartości przestrzeni miejskiej. Czytelny podział miasta na zurbanizowane dzielnice i kompleksy niezabudowanych obszarów zielonych umożliwia identyfikację swojego „miasta w mieście”. Tereny otwarte mają więc istotną funkcję strukturalną. Miasto rozlewające się w jednolitą „tłustą plamę urbanizacji” jest uznawane za nieprzyjemne, przekraczające ludzką skalę i sprzeczne z naturalnymi możliwościami percepcji przestrzeni u człowieka. Oczywiście, tereny zielone to przestrzeń rekreacji, egalitarna przestrzeń spędzania czasu wolnego w mieście, co dla współczesnego człowieka, coraz bardziej dbającego o dobrą kondycję fizyczną, jest nie do przecenienia. Miejskie tereny otwarte mogą też pełnić funkcje produkcji żywności, a Nowa Karta Ateńska, manifest wydany przez Europejską Radę Urbanistów, mówi wprost, że „bliskie sąsiedztwo terenów rolnych z terenami zabudowy miejskiej w żadnym przypadku nie jest zjawiskiem negatywnym i powinno być popierane i promowane”. Tereny zielone o różnych wzajemnie nakładających się funkcjach tworzą miejski system przyrodniczy terenów otwartych.



Uprawy rolne na Ursynowie w Warszawie. Fot. M. Staniszkiś.

Rozwój miasta i zagospodarowanie przestrzeni miejskiej jest rezultatem polityki. Miasta od początków swojej historii były zakładane „na prawach”, a współcześnie takie prawa tworzy się w procesach planowania przestrzennego. Historia nowoczesnego planowania Warszawy w czasach II RP i PRL dowodzi, że pomimo znaczących zmian w rozwoju miasta, zasada współistnienia kultury i natury była niepodważalną zasadą polityki kształtowania dobrych warunków życia w Warszawie. Tę ciągłość historii planowania Zielonej Warszawy przerwała transformacja ustrojowa po 1989 roku, jako że miejskie tereny otwarte to najsłabsze ogniwo struktury miasta w gospodarce wolnorynkowej. Bezrefleksyjne przyjęcie w gospodarowaniu przestrzeni praw tak zwanego wolnego rynku spowodowało zabudowywanie terenów zielonych w Warszawie i zanikanie tych terenów w planowaniu rozwoju stolicy.

Zieleni warszawska, najbardziej powszechnie kojarzona z miejskimi parkami, obejmuje zarówno parki historyczne, jak i parki założone w czasach dwudziestolecia międzywojennego, a przede wszystkim wielkie parki okresu socjalizmu. Jednakże razem stanowią one tylko dwa i pół procent powierzchni miasta oraz cztery i pół procent wszystkich terenów zieleni w mieście. Współcześnie nie buduje się nowych parków, nie tylko z braku środków ale także dlatego, że ustawodawca nie włączył zieleni parkowej do katalogu inwestycji uznawanych za cel publiczny. Ta trudna do zaakceptowania, biorąc pod uwagę znaczenie przyrody w mieście, sytuacja prawna bardzo utrudnia możliwość planowania i wykupu terenów dla realizacji parków. Ale zieleni parkowa to i tak tylko znikoma część pożądanego miejskich terenów otwartych, które, według profesjo-

nalnych ocen, powinny stanowić co najmniej jedną trzecią obszaru miasta. Zatem skuteczna zielona polityka nie może ograniczać się tylko do ochrony publicznych parków, ale musi uwzględniać także wiele innych form miejskich terenów otwartych.

Szansą dla Zielonej Warszawy są tereny rolne, które ze współczesnych planów całkowicie zniknęły jako kategoria użytkowania przestrzeni stolicy, chociaż wiele miast europejskich prowadzi politykę wspierania produkcji żywności w swoich granicach administracyjnych. W Wiedniu tereny upraw rolnych mają znaczny udział w obszarze chronionych terenów przyrodniczych, a Stuttgart winnice na zboczach słynnego „zielonego U” uznał za część tożsamości kulturowej miasta. Przy tym w wymienionych miastach wprowadzono różne instrumenty zachęcania do produkcji żywności. Miejskie rolnictwo to bowiem bardzo różne formy produkcji: od upraw polowych, poprzez łąki, sadownictwo, uprawy warzywne, zwłaszcza zdrowej żywności, aż po szkółki krzewów i roślin ozdobnych czy plantacje „choinek”, których miasto jest głównym odbiorcą. Obszary rolne w Warszawie jako pełnoprawna forma użytkowania terenu, w tym także ogrody działkowe jako specyficzna forma produkcji warzyw, mogą stworzyć bazę dla dużych kompleksów terenów otwartych o znaczącej funkcji klimatycznej, krajobrazowej, strukturalnej, w tym także rekreacyjnej, na śródpolnych drogach i miedzach. Prywatne miejskie rolnictwo może odgrywać ważną publiczną rolę w funkcjonowaniu zielonego miasta bez obciążenia dla jego budżetu

Jedną z wielu kategorii miejskich terenów otwartych wymienianych w planach zagospodarowania przestrzennego jest zieleni cmentarna. Warszawskie nekropolie stanowią znikomą część zie-



Cmentarz Skogskyrkogården w Sztokholmie. Fot. M. Staniszkiś.



Biblioteka Uniwersyteku Warszawskiego. Fot. M. Budzyński.

leni w mieście, a przecież cmentarz jest niekwestionowaną potrzebą wszystkich. Przykościelne cmentarze w centrum małego miasta czy dzielnicy metropolii, a także nekropolie w dużych miastach, stanowiły zawsze integralny element kulturowego krajobrazu miasta i jego historycznego dziedzictwa. Cmentarze, ponadto, bywają oazami zieleni, jak, na przykład, Powązki czy Cmentarz Bródnowski. Cmentarz może być użytkowany również jako park miejski, oczywiście w sposób właściwy dla podstawowej funkcji tego terenu, co jest szczególnie widoczne w krajach skandynawskich. Jeden z najbardziej znanych europejskich cmentarzy, *Skogskyrkogården* w Sztokholmie, zajmuje ponad stuhektarowy obszar leśnego parku. Szwedzka nekropolia tworzy pomnik dziedzictwa kulturowego miasta i ogólnoswiatowego dziedzictwa, została wpisana na listę UNESCO

Nowy komunalny Cmentarz Południowy w Warszawie, o powierzchni pięćdziesięciu hektarów, został zbudowany poza granicami miasta. Przenoszenie miejsc pochówku zmarłych na peryferie jest wątpliwe pod względem kulturowym, natomiast zlokalizowanie dużego cmentarza w mieście tworzy szansę powiększenia zielonych płuc miasta dla żywych. Elementem zielonej polityki miejskiej mogą być cmentarze w mieście, odpowiednio zlokalizowane i zagospodarowane jako tereny z dużą ilością zieleni, z pożytkiem dla wygody odwiedzających groby i dla wszystkich beneficjentów klimatycznej i krajobrazowej funkcji przyrody w mieście.

Jedną z nieuniknionych sytuacji konfrontacji miasta z przyrodą są deszcze. Odprowadzanie nadmiaru wód opadowych z terenów zabudowanych należy do obowiązkowych elementów polityki higieny i bezpieczeństwa użytkowania miasta. Urządzenia służące temu celowi uznane są za infrastrukturę techniczną i inwestycje celu publicznego. Podziemna kanalizacja deszczowa okazuje się instalacją kosztowną i nieracjonalną. Albo pozostaje pusta w okresach małych opadów, albo się łatwo przepelnia w przypadkach deszcza nawalnych, zalewając ulice, przejścia podziemne, stacje metra i piwnice domów. Pomimo tego na wielu terenach nowej zabudowy w Warszawie kanalizacja deszczowa jest nadal planowana. Zamiast budować podziemne instalacje, można, naśladowując cykl hydrologiczny w przyrodzie, współistnieć z deszczem w mieście poprzez system otwartych kanałów i stawów retencyjnych otoczonych terenami publicznie dostępnej zieleni. Byłyby one traktowane jako „miejskie poldery”, na które wylewałby się ewentualny nadmiar wody. Taka „zielona” infrastruktura deszczowa może równocześnie służyć rekreacji. Dobrze wkomponowane, kanały deszczowe mogą współtworzyć pejzaż ulic miejskich, jak, na przykład, dzieje się to w Miasteczku Wilanów. Każda forma połączenia zieleni i wody w przestrzeni publicznej ulic

i placów zazwyczaj stanowi krajobrazową atrakcję, pozytywnie wpływając zarazem na lokalną regulację klimatu.

Istotnym elementem zielonej polityki są planistyczne ustalenia dotyczące sposobu zagospodarowania i zabudowy terenów prywatnych. Wskaźnik powierzchni biologicznie czynnej to jeden z podstawowych parametrów dla każdego terenu będącego własnością prywatną narzuconych przez publiczne prawo miejscowe. Im wyższy obowiązujący udział zieleni, tym teoretycznie niższe korzyści, jakie inwestor czy developer będzie mógł uzyskać po zabudowaniu działki. Pod naciskiem wywieranym przez właścicieli nieruchomości, kierujących się własnym interesem ekonomicznym, wskaźniki te ustalane są w planach Warszawy przeważnie na bardzo niskim poziomie, co przy małej ilości publicznych terenów zielonych może zamienić miasto w „betonową pustynię”. Staranne wyważenie proporcji pomiędzy terenami odebranymi naturze a terenami przyrody zachowanymi w postaci ogrodów towarzyszących zabudowie w odpowiednio wybranych dzielnicach może być skutecznym działaniem na rzecz zielonego miasta. Rzecz jasna, takie regulacje planistyczne powinny mieć swoje skutki w polityce podatków od nieruchomości, jako że prywatne ogrody pozytywnie wpływają na lokalny klimat miasta oraz ochronę środowiska przyrodniczego, a zatem pełnią funkcje celu publicznego.

Obok zieleni na działkach, warto wskazać na roślinność na dachach oraz na pnącza na ścianach budynków, czyli na współczesne rozwiązania tak zwanej zielonej architektury, którą w wielu krajach wspomaga polityka miejska. Zielone dachy zawsze korzystnie oddziałują na lokalną retencję wody deszczowej, a jednocześnie mogą być terenem prywatnej czy publicznie dostępnej rekreacji. Biblioteka Uniwersyteku Warszawskiego, z największym w Europie miejskim parkiem na dachu, jest najlepszym przykładem współistnienia budynku z przyrodą i wykorzystania tej symbiozy dla unikalnego piękna architektury

Utrzymanie równowagi pomiędzy kulturą i naturą w mieście jest możliwe w każdej sytuacji ustrojowej i ekonomicznej pod warunkiem, że zieleni w mieście uznana zostanie za niezbędną dla dobrego życia i że władze miasta będą prowadzić aktywną zieloną politykę.

Magdalena Staniszkiś – doktor inżynier architekt, urbanista, wykładowca na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, prowadzi własną pracownię projektową.

Beata J. Gawryszewska

Ogrody Warszawy i tożsamość miejsc

Modne ogrody nie przypominają ogrodów – bez róż, pelargonii, ostróżek i kapryfolium mają imitować „prawdziwą naturę”. Modne ogrody wyglądają jak niezmienny ludzką ręką krajobraz. Bez ogrodnika. Stare ogrody są inne. To, co je wyróżnia z reszty świata to widoczne, celowe działanie człowieka. Każdy wie jak wygląda taki stary ogród. Są w nim kwiaty, warzywa, drzewa owocowe. Delikatne gatunki roślin, które nie przetrwałyby długo pozostawione bez opieki. Celem zaś zakładania ogrodu jest czasem uczynienie przestrzeni piękną, czasem wygodną, a najczęściej po prostu uczynienie przestrzeni miejscem. Marc Augé pisze o nie-miejscach, które nieubłaganie zastępują miejsca antropologiczne (*lieux anthropologiques*). Stare, dobre miejsca z historią i śladami ludzkiej obecności, miejsca o konkretnej tożsamości, takie z którymi identyfikuje się przynajmniej jedna osoba, które mogą niedługo wyginać. Zastępowane są przez nie-miejsca – przestrzenie anonimowe jak centra handlowe, terminale lotnisk, foyer wielkich firm – schludne i estetyczne, ale bez śladów jakiegokolwiek ludzkiej zasiedlenia. Nie-miejsca są jak modne nie-ogrody, w których nie widać ręki ogrodnika.

Do czego są potrzebne miejsca? Ludzki świat według Józefa Tischnera to dom, warsztat pracy, świątynia i cmentarz. Każde z nich opiera się na relacji z przestrzenią, ale jak twierdzi Tischner, „opartej na wzajemności”. Miejsce jest wyrazem wzajemności, czyli relacji między ludźmi. Jeśli nie jest to relacja bezpośrednia, dokonuje się poprzez miejsce. Miejsca bowiem tworzymy dla innych, nie tylko dla siebie. Ważnym miejscem, takim jak dom, świątynia, groby najbliższych, towarzyszą ogrody. Ogród tworzy miejsce. Nadajemy mu tożsamość poprzez utrzymywanie relacji z roślinami, które uprawiamy. Pielęgnowanie ogrodu – uprawa roślin kwitnących, uprawa warzyw i owoców, to demonstracja związku pomiędzy człowiekiem a miejscem, czyli identyfikacji z miejscem, której tak uparcie i do znudzenia dopominają się architekci i psychologowie środowiskowi. Każdy ogródek, nawet uprawiany w skrzynce albo w doniczce tworzy relację, a relacja tworzy miejsce. Jest lekarstwem na nie-miejsca i przeciwnieństwem anonimowości przestrzeni. Wiedzą o tym działacze partyzantki ogrodowej (*guerilla gardening*), którzy szukają tożsamości miejsca, sieją rośliny ogrodowe na skrawkach ziemi między murami, dziurach w chodnikach, zapomnianych miejskich donicach, a nawet na zwykłych, zapuszczonych trawnikach, bo i te ostatnie wydają im się zbyt mało „zielone”. Sieją proste, „babcię” aksamitki, nasturcje i malwy,



Ogród użytkowy na terenie V kolonii osiedla WSM na Żoliborzu. Okres międzywojenny. Fot. z archiwum WSM Żoliborz Centralny.

sadzą bratki i petunie.

Ogród, nawet tak niewielki, stanowi super-miejsce, bo zawsze kojarzy się z jakąś historią, albo zwyczajnie z kimś, kto go stworzył – z ogrodnikiem. Takie są ogrody przy domach. Podobnie wyglądają ogrody na grobach naszych bliskich. W czasie wojny, kiedy miejskie parki i zieleńce warszawskie zamieniały się w cmentarze, kwiaty, które towarzyszyły grobom, oznaczały pamięć o poległych i wspólnotę żywych.

Czas przywołać historię pewnego miejsca w Warszawie, Skweru Hoovera. Od końca XVII wieku, na północnym krańcu długiego, wąskiego zieleńca stoi figura Matki Boskiej Passawskiej, akt wdzięczności Simone Giuseppe Belottiego, autora rzeźby, za ocalenie przed zarazą. Dwieście lat później dotychczas do niej pomnik Adama Mickiewicza, flankując zieleńcem od strony południowej. Obu monumentom towarzyszyły rabaty kolorowych kwiatów. W czasie Powstania Warszawskiego na zieleńcu pochowano żołnierzy Armii Ludowej. Polegli za Ojczyznę złożeni zostali pod figurą Matki Boskiej, obok pomnika narodowego wieszca. Ukwiecone grób trwał aż do 2008 roku, kiedy to łopaty robotników nabrały na ludzkie szczątki. Podobno rozpoczynając inwestycję „nie uwierzyli, że grób jest prawdziwy” – tak pisał w „Gazecie Wyborczej” Tomasz Urzykowski. Szczątki zostały przeniesione na Cmentarz Wolski, do kwatery powstańców, rabaty kwiatowe ustąpiły modnej kawiarni z ogródkiem piwnym. Jednak okazuje się, że miejsce miejscem pozostaje, jego tożsamość nie ginie, a tylko ulega transformacji. A jeśli pozostaje miejsce, musi być i ogród, o co w przypadku Skweru Hoovera zadbał artysta. Najpierw 11 września (sic!) 2009 roku firma Kenzo urządziła pokaz, w ramach którego na Placu Zamkowym, tuż przy Skwerze Hoovera pojawiło się pole czerwonych, jedwabnych maków. Na drugi



Na działkach przy Odyńcu. Fot. B.J. Gawryszewska.

dzień warszawiacy mogli je zabrać, spryskane perfumami, do wazonów. W maju 2010 roku dyplomantka ASP, Julia Curyło ustawiła tu gigantyczne, dmuchane tulpiany. Ogród powrócił. Tak jakby miejsce, które uzyskało już swoją indywidualność, niezbędną do identyfikowania się z nim, domagało się nieodłącznego atrybutu, jakim jest ogród.

Historie takie jak ta, choć może mniej spektakularne, można odczytać w przestrzeni starych warszawskich osiedli. Na Żoliborskim WSM-ie, tam, gdzie 1 sierpnia 1944 rozpoczęło się powstanie, zielone trawniki funkcjonalnego osiedla, wciąż zbyt mało docenianego osiągnięcia architektury społecznej XX-lecia międzywojennego, pokryły się grobami. Choć po wojnie ciała ekshumowano, ogrody pozostały, jako wyraz pamięci – pod kapliczką na dziedzińcu IV kolonii przy Krasieńskiego 16, albo pod oknami, świadcząc o zakorzenieniu, jakby powiedział ksiądz Tischner. Obecność kwitnących rabat pielęgnowanych przez mieszkańców świadczy o dojrzałości wspólnoty, o tym, że ludziom jest tu dobrze i nigdzie się nie wybierają. Bo ogrodu nie da się zapakować do wa-

lizki. Oznacza decyzję trwania w miejscu i z miejscem, na dobre i złe. Nie na darmo Anglicy uważają, że istotą ogrodu jest ... *gardening*. Nieprzetłumaczalny termin oznacza nie tyle ogrodnictwo, co bycie w ogrodzie, uprawianie go, pielęgnowanie roślin i czerpanie z tego przyjemności.

Potrzeba pielęgnowania ogrodu jest stara jak osiadła ludzkość. Robotnikom oderwanym od ziemi w wyniku rewolucji przemysłowej w XIX wieku filantropowie zaproponowali ogródki na terenie miast. Miały zapobiegać „alkoholizmowi i tuberkulozie”, ale i przywrócić wartość pracy ludzkich rąk w kontakcie z ziemią i roślinami. Te niewielkie splechki ziemi, które zafundowały terenami otwartymi, towarzysząc miastom przemysłowym w całej Europie nazwano potem pracowniczymi ogródkami działkowymi, a jeszcze później, całkiem niedawno, rodzinnymi ogrodami działkowymi. W latach 80-tych XX stulecia tak zwane „dzikie” działki, zakładane na każdym skrawku wolnej przestrzeni w pobliżu blokowisk, demonstrowały rodzącą się wolność. Moda na nie wcale nie mija, przeciwnie, w dobie rosnącej popularności *community gardeningu*, czyli uprawiania wspólnych ogrodów warzywno-kwiatowych w osiedlach mieszkaniowych, działki stają się poszukiwanym przejawem współczesnego *life stylu*, stając się tym samym wychnieniem od odmłodzającej, biurowej codzienności dla pracowników korporacji, co ongiś dla robotników od wycieńczającej pracy przy taśmie.

Modnie jest mieć ogródek działkowy i pokazywać w nim dzieciom, że marchewki nie biorą się z supermarketu. Może uda się więc uratować ogródki przy Odyńcu, jedne z najstarszych w Europie, najstarsze w Polsce, założone w 1902 roku przez warszawskich filantropów, pod wodzą feministki i działaczki społecznej panny Kazimierzy Proczkówny, jako jeden z jej „sposobów zaradzenia nędzy bez dawania jałmużny”. I chociaż niektórzy urbaniści mówią, że w centrum stolicy europejskiej nie ma miejsca na nieestetyczne i nieeleganckie rabaty, a tereny ogródków przy Odyńcu są już, jeśli wierzyć temu, co warszawskie wróble ćwierkają, w potowie wykupione od działkowców przez tajemniczego dewelopera, wierzę, że duch ogrodu i siła wspólnoty mieszkańców wygrają. Bo pomimo upływu czasu i towarzyszącym mu przemianom wizerunku miasta, ogrody Warszawy wciąż pozostają ogrodami.

Beata J. Gawryszewska – architekt krajobrazu, pracuje w Katedrze Sztuki Krajobrazu w SGGW w Warszawie.

Piotr Kubkowski

Błota, parterogródki i pionierskie opowieści o południowym Ursynowie

Warszawa jest dziś sexy, a warszawskie autoidentyfikacje w cenie. I nie tylko te, które odnoszą się do Żoliborza, Saskiej Kępy, Starej Ochoty, Starego Mokotowa. Także i Powiśle rozpoznało w sobie coś ciekawego, a co dopiero starsze dzielnice prawej strony Wisły... Ulice, place, kwartały starej tkanki miasta mają swoją coraz to obfitszą literaturę – bo piosenkę miały od dawna. Cyfryzacja rycin, starych fotografii, filmów umożliwiła porównanie dzisiejszego oblicza miasta z jego dawniejszymi wcieleniami już nie tylko historykom – którzy zresztą nie tak znowu często byli nimi zainteresowani, koncentrując się na przekazach tekstowych – ale też zwykłym mieszkańcom stolicy. Mieszkańcom, którzy – dodajmy – często są warszawianami, a rzadziej – po warszawsku – warszawiakami.

Łatwo jest snuć autonarracje mieszkając w dzielnicy starej, zwłaszcza takiej, która w znacznym stopniu ocalała od wojennej pożogi. Kamienice mają swoje historie: w ich ściany, obok tablic podających liczbę osób rozstrzelanych przez hitlerowców, wmurowane są kamienie upamiętniające postaci znanych mieszkańców. Dobra architektura, stare kościoły, powstańcze opowieści, dramatyczne życiorysy, firmy o stuletniej tradycji, stołeczni intelektualni artyści, społecznicy, radykałowie – pasjonat szperania w historycznych przekazach przy odrobinie starania utka piękną miejską opowieść. Gros warszawian mieszka jednak nie przy zadzwonionych uliczkach za placem Wilsona, lecz w blokowiskach, które w najlepszym razie dobiegają pięćdziesiątki.

Ale i blokowiska doczekały się w ostatnich czasach rehabilitacji. Wydano przewodnik po stołecznych osiedlach, w którym autor (Jarosław Trybuś) próbuje za pomocą protekcyjnych argumentów „historyczno-sztucznych” przekonać czytelników, że także wśród wielkopłytych realizacji znaleźć można coś ciekawego. O Ursynowie w szczególności pisze (w książkach i na portalu internetowym) Maciej Mazur. Doświadczenie życia w bloku, zdobywanie blokowiskowej przestrzeni jest tu punktem wyjścia, ale też doświadczenia. Bo jeśli blokowisko jest ciekawe, to nie tyle (lub: nie tylko) poprzez totali-

zujące koncepcje planistów, co właśnie poprzez to, jakie wspólnoty się tworzą (lub nie) i jakie aktywności te przestrzenie rosnącego miasta generują. To nie piękna architektura, ale sposoby przyswajania sobie przestrzeni są najciekawszym zagadnieniem.

Ursynów był pomysłem peerelewskim – realizowanym od lat 70. i pierwsze skojarzenie z wielkopłytywym osiedlem to właśnie niedostatki i radości życia w poprzednim systemie. Stereotyp ten jest punktem wyjścia dla Izabeli Meyzy i Witolda Szablowskiego, którzy, szukając swojego „małego PRL-u”, odnajdują go właśnie tu, gdzieś na granicy Imielina i Stokłosów. Pamięć ursynowian o tym okresie wspomaga ją seriale odwołujące się do motywu pionierstwa (*Alternatywy IV*, po trosze *Czterdziestolatek*). I taki właśnie mit się rodzi – mit podbijania nowego terytorium w nieprzychylnych warunkach. Wśród jego twórców i „narratorów” uprzywilejowaną pozycję mają oczywiście ci, którzy na osiedlach się wychowali, ewentualnie mieszkali tu od początku – od przełomu lat 70. i 80.

Opowieści dotyczą oczywiście tysiąca przykładów zmagani i setek przyczyn radości. Wyzwaniem i zarazem powodem satysfakcji było dla pionierów obcowanie z naturą. Przybierało ono różne oblicza, które można określać – zależnie od tego, kto opowiada i do jakiej sytuacji się odnosi – mianem radosnych zetknięć ale też dotkliwych konfrontacji. Ulice wytoczane szdłuż polnych dróg, a nieraz i po miedzy, bloki budowane bezpośrednio koło pól uprawnych, sąsiedztwo Lasu Kabackiego, skarpy wiślanej i innych dzikich lub półdzikich kompleksów zieleni – to wszystko generowało kłopoty komunikacyjne z jednej strony, z drugiej zaś dostarczało okazji spotkania bażanta lub zająca, by przywołać opowieści najbanalniejsze...

Świat przyrody nie zawsze wyraźnie oddzielał się jednak od przestrzeni zamieszkałej. Albo inaczej: przestrzeń zamieszkała niekoniecznie oznaczała obszar odfity dzikości przez cywilizację. Mieszkańcy – od lat 70. aż po 90. – wprowadzali się do bloków niewykończonych, osiedlom zaś brakowało infrastruktury: szkół, sklepów, punktów

usługowych itd. W pierwszym odczuciu najbardziej dotkliwy był jednak brak chodników, alejek dojazdowych – otóż najpierw i przede wszystkim skonfrontowani byliśmy z błotem. To ono wypełniało początkowo przestrzeń między blokami i to w nim – naprawdę! – bawiły się dzieci. Granicę błotnej przestrzeni stanowił drewniany płot, odgradzający krater wykopany pod fundamenty nowych budynków.

Osiedla zamieszkiwali ludzie różni: dla wielu przeprowadzka oznaczała społeczny awans, inni natomiast, opuszczając starsze dzielnice miasta, widzieli w tym degradację. Tymczasem dla wychowujących się tu dzieci blokowisko było niejako naturalne, stanowiło przestrzeń zdobywaną naiwnie, bez prób porównania z resztą miasta, a zatem bez poczucia estetycznego zawodu.

Jeśli już porównywać, to raczej z krajobrazem filmowym lub powieściowym, organizującym dziecięcą wyobraźnię. Dlatego więc błotne kwartały stały się obszarem śmiałych eksploracji, wykraczających nieraz poza dozwolone – wspomniane wyżej – granice terenu budowy kolejnych partii osiedla. Robotnicy stacjonujący w barakach pozostawiali całą masę fascynujących artefaktów – od niedopałków papierosów po postery z nieubranymi paniami, a obrzeża głębokich wykopów, w których pracowali, zachęcały do organizacji różnych ryzykownych zabaw i konkurencji.

Wykopana pod fundamenty ziemia – na niektórych osiedlach tworząca sztuczne wzgórza (*vide*: hałda Kazurówka, inaczej Górka Trzech Szczytów na Wyżynach) – w części Natolina i na całym wielkopłytyowych Kabatach użyta została do usypania małych tarasów, łączących się z balkonami wysokiego parteru. Część z nich, o powierzchni kilkudziesięciu, a nieraz nawet i kilkuset metrów, szybko została ucywilizowana przez lokatorów przylegających do nich mieszkań. Parterogródki, bo o nich tu mowa, zaczęły pokrywać się nasadzeniami. Strategie bywały przeróżne: jedni przyjmowali konwencję ogródka warzywnego (to rzadziej), inni sadzili krzewy ozdobne, a wraz z nastaniem późniejszych lat 90. mody na drzewka iglaste.

Parterogródki stały się ważnym tematem południowo-ursynowskich autonarracji, świadectwem dobrej woli i „klasy” mieszkańców, wreszcie: zjawiskiem budującym wspólnotę. Okres ich usypania, uformowania zbiegał się z momentem wycofania się z przestrzeni osiedla ciężkiego sprzętu budowlanego. Gdy władze spółdzielni we współpracy z lokatorami zabrały się za organizowanie osiedlowej zieleni, znaczyło to, że kształt blokowiska został niejako przyklepany. Przejęcie przez mieszkańców inicjatywy w urzędzeniu najbliższej im przestrzeni stanowiło wyraz akceptacji nowo zamieszkanego obszaru, coś w rodzaju afirmatywnego aktu pogodzenia się

z losem. Zieleń w swoim nieuporządkowanym, dzikim kształcie, kiedyś wyparta przez planistów i koparki, teraz wróciła w formie bezpiecznej, zagospodarowanej i kontrolowanej.

Uznanie parterogródków za przestrzeń własną miało swoje skutki, powiedzielibyśmy, społeczne. Przede wszystkim, nieuchronnie prowadziło do konfliktów inicjowanych przez puszczone samopas dzieci, grające chociażby w tzw. wykopanie – rodzaj zabawy w chowanego z elementem długiego wykopu piłki. Geografia osiedla wskazywała jednoznacznie miejsce, gdzie kopnąć piłkę było najkorzystniej – sąsiedzki, gęsto zarośnięty parterogródek. Praktyka powtarzana cyklicznie stwarzała głębokie rysy w relacjach między rodzicami uczestników zabawy, a gospodarzami tarasów.

Parterogródki z biegiem czasu podlegały więc grodzeniom, coraz śmielej przywłaszczane sobie przez lokatorów. Co po części wynikało ze względów bezpieczeństwa – stwarzały bowiem możliwość łatwego dostania się do mieszkania. Przepis regulaminu spółdzielni, wyznaczający maksymalną wysokość i określający stopień przejrzystości parkanu, obchodzone, zagęszczając żywopłot. Część tarasów stała się więc *de facto* prywatną, wydzieloną i niedostępną nawet oku przechodnia przestrzenią. Ta strategia ekskluzywizmu nie uwiodła jednak wszystkich mieszkańców parterów. Obok kwiatnych dekoracji balkonów, dostępnych mieszkańcom wszystkich kondygnacji, także i ekspozycja estetyki owych parterowych tarasów stała się polem współzawodnicstwa między mieszkańcami. Posiadanie parterogródka zdawało się zobowiązywać do uczestnictwa w tej nieformalnej konkurencji napędzanej mechanizmem przypominającym sprężynę opisywanego przez etnografów potlaczu. Gra, prowadzona z pozornie niewinną intencją, angażowała ogromne nakłady środków materialnych oraz czasu i toczyć się mogła aż do momentu, w którym ktoś ze współzawodnictwa odpadł.

Forma kabackich i natolińskich parterogródków ewoluowała i ewoluuje dalej. Obserwowane w kilkuletnich odstępach, odzwierciedlają nowe gusta, przemiany obyczajów, konstelacje blokowskich stylów życia, np. podejście do zwierząt domowych, do dzieci lub akceptowalną szczelność – dosłowną i metaforyczną – stosowanych przez ursynowian zasłon prywatności. Dostrzeżemy w nich – nie przesadzam! – fascynację romantycznym ogrodem angielskim, ale i klarownością rozwiązań francuskich. Zobaczymy oczywiście liczne przykłady zaniedbane, zarośnięte, na różne sposoby kłopotliwe dla lokatorów bloku. Takie opuszczone ogródki często partyzancko przejmowane są przez aktywistów z wyższych pięter, którzy, pozbawieni możliwości pełnego korzystania z parterogródka, postanawiają przejąć niechcianą „własność” sąsiadów.

Zieleń wielkopłytyowego blokowiska była i jest więc przestrzenią, tematem, stawką gry, a w zasadzie wielu równoległe toczących się na różnych poziomach gier. Tych gier w sensie dostownym, a więc coraz rzadszych zabaw podwórkowych oraz gier rozumianych metaforycznie: między umykającymi dziećmi a gospodarzem, między spontanicznymi nasadzeniami a systemowymi rozwiązaniami forsowanymi przez administrację, między poszczególnymi konkurującymi ze sobą sąsiadami, między właścicielami psów a kynofobami itd.

Gry takie zobaczymy wszędzie, także poza blokowskimi – to oczywiste. Tu jednak, na młodym periferijnym osiedlu, wyłania się obraz przestrzeni nieprzyurządzonej, wywalczonej, dopiero stopniowo zdobywanej, o nieustalonej identyfikacji. To takie właśnie warunki kazały w każdym nowym przypadku podejmowane decyzje przemyśleć i motywować, o wszystko – z nadzieją na sukces – się starać, negocjować znaczenia, ustalać sensy, podejmować inicjatywy itp. Wreszcie – to takie właśnie warunki kazały i każą tkąć wokół pionierskich, zdobywczych działań autoidentyfikacyjne opowieści. Wszakże o jedną z tych opowieści tu koniec końców chodziło.

Ukształtowanie Starego Żoliborza, ogólne rozplanowanie dzielnicy, jak i rozwiązania szczegółowe, są w dużej mierze efektem twórczej adaptacji idei miasta-ogrodu. Efektem zaskakująco udanym na tle nieskutecznych podwarszawskich prób wcielenia tej utopii (w większości nieprzekraczających zresztą fazy planowania). Czynnikiem zbawienymi okazały się: bliskość miasta, administracyjna przynależność Żoliborza do Warszawy, rozłożenie w czasie zabudowy, wielość inwestorów, co znalazło odzwierciedlenie w różnorodności stylistyk architektonicznych, form własności i zamieszkiwania. „Układ do dziś funkcjonujący znakomicie – jak pisał Adam Czyżewski w swej analizie utopii miasta-ogrodu – łączył wielkomięjski układ prostych arterii komunikacyjnych i dużych placów o wielokondygnacyjnej zabudowie obrzeżnej z kameralnymi wnętrzami utworzonych w ten sposób kwartałów, którym nadano charakter niewielkich przedmieść ogrodowych z zabudową bliźniaczą, jednorodziną lub szeregową” (*Trzewia lewiata-na*, Kraków 2001, s. 171). Nawet to, co było krytykowane i mogło być przyczyną nadmiernej ideologizacji i monumentalizacji zabudowy, czyli układ głównych,

Piotr Kubkowski – kulturoznawca i historyk, doktorant w IKP UW. Interesuje się nowoczesną historią sportu, męskości oraz miejskimi projektami totalnymi (w tym nieudanymi).

Igor Piotrowski

„Zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz”

Rzut oka na zdjęcia przedwojennego Żoliborza może w pierwszej chwili nas zmylić. Wydaje się, że właściwie nie widać dużo zieleni, że jest ona raczej rachityczna i nieobecna. Podobnie zresztą jest ze zdjęciami dzielnicy z lat pięćdziesiątych. Gdy dzisiaj popatrzymy na północne rejony lewobrzeżnej stolicy, to w porównaniu z Górnym Mokotowem czy Starą Ochotą, a nawet z ubogą w parki, lecz nadmiernie bogatą w zieleni, cmentarną Wolą, wcale nie różnią się ona bardzo na korzyść. Nawet śródmieście Warszawy, mimo naporu deweloperów i różnej maści inwestorów, zakusów kolejnych władz na intensyfikację nie dość, wedle nich, zagęszczonej zabudowy, ma się wciąż wcale nieźle. Graniczący przez tory z Żoliborzem Muranów ma dużo bujnej zieleni, nieopodal są Powązki. Także te nowsze czy młodsze dzielnice nie mają się czego wstydzić, zatem nie wydaje się, by na tle zieleni warszawskiej Żoliborz stanowił obecnie jakąś nadzwyczajną enklawę. A jednak stanowi nadal przypadek niezwykły, który jest konsekwencją niezwykłości dziejów dzielnicy. Żoliborz był zielony i jest nadal zielony. Żadna dzielnica nie doczekała się tak bardzo rozpoznawalnego stałego epitetu, może jeszcze „robotnicza Wola” ma czy raczej miała nieco podobny charakter.

Ukształtowanie Starego Żoliborza, ogólne rozplanowanie dzielnicy, jak i rozwiązania szczegółowe, są w dużej mierze efektem twórczej adaptacji idei miasta-ogrodu. Efektem zaskakująco udanym na tle nieskutecznych podwarszawskich prób wcielenia tej utopii (w większości nieprzekraczających zresztą fazy planowania). Czynnikiem zbawienymi okazały się: bliskość miasta, administracyjna przynależność Żoliborza do Warszawy, rozłożenie w czasie zabudowy, wielość inwestorów, co znalazło odzwierciedlenie w różnorodności stylistyk architektonicznych, form własności i zamieszkiwania. „Układ do dziś funkcjonujący znakomicie – jak pisał Adam Czyżewski w swej analizie utopii miasta-ogrodu – łączył wielkomięjski układ prostych arterii komunikacyjnych i dużych placów o wielokondygnacyjnej zabudowie obrzeżnej z kameralnymi wnętrzami utworzonych w ten sposób kwartałów, którym nadano charakter niewielkich przedmieść ogrodowych z zabudową bliźniaczą, jednorodziną lub szeregową” (*Trzewia lewiata-na*, Kraków 2001, s. 171). Nawet to, co było krytykowane i mogło być przyczyną nadmiernej ideologizacji i monumentalizacji zabudowy, czyli układ głównych,

szerokich ulic Mickiewicza i alei Wojska Polskiego, w ostatecznym bilansie stało się dodatkowymi klinami zieleni. Forum polskiego oręża, którego osią miała być ta aleja, zakończone półkolistym założeniem Placu Grunwaldzkiego, zostało bowiem wypełnione trawnikami i drzewami (pozostałością po tej militarnej idei są dwa pomniki wybudowane po 1989 roku, bardzo złe, ale niewidoczne).

Zieleń, która miała na Żoliborzu pewien aspekt praktyczny (wokół piachy i ostre, sawannowe trawy będące w dużej mierze pozostałościami po cytadeli, systemie fortów i poligonie), stała się tutaj widzialnym, materialnym czynnikiem unifikującym, poniekąd integrującym partykularne Żoliborze. Zielony Żoliborz zmieścił w sobie Żoliborz czerwony (inteligentki, lewicowy) i czarny (wojskowo-elitarny, prawicowy), których symbolicznym oddzieleniem w przestrzeni jest odwrócony tyłem do ulicy Krasieńskiego i całej republiki WSM-u kościół św. Stanisława Kostki. Ale, oczywiście, podziały w praktyce wymykały się takiej binarnej opozycji, chociażby z tego powodu, że były kwartały nie poddające się jednoznacznej przynależności, np. Żoliborz dziennikarski czy spółdzielcze domy wzdłuż Mickiewicza. Tak jak stronę Swanna ze stroną Guermantes łączyło znacznie więcej, niż się z początku powieści Prousta wydawało narratorowi, tak obie strony stanowiły dwie strony tego samego zielonego Żoliborza odróżniającego się od reszty miasta i okolic.

Stanowiąca „wyróżną w swej odrębności strefę ekologiczną” dzielnica, jak pisał przeszło 40 lat temu żoliborzanin Olgierd Budrewicz w tekście zatytułowanym *Żoliborz – Litwa Warszawy*, była „czymś w rodzaju wyspy” (więc może Irlandia? To być może nie przypadek mieszka na Żoliborzu Antoni Libera). Ta znana odrębność, wielokrotnie podkreślana i konstytuowana (po wojnie najstojniejszym jej manifestem były bodaj *Listy do pani Z. Kazimierza Brandysa*) dotyczyła przede wszystkim światopoglądu, stanu ducha, kultury. Bariera torów i Dworca Gdańskiego były granicą między Żoliborzem a resztą miasta najmocniejszą (pamiętajmy, co było przed wojną bezpośrednio za tymi torami – biedota chrześcijańska i biedota żydowska). Potocka od północy oddzielała Żoliborz od robotniczego Marymontu już słabiej, niemniej zauważalnie. W pewnym odaleniu od dzielnicy były położone za to osiedla zamieszkałe w dużej mierze przez „społeczne doty”, m.in. lumpenproleta-

riat, Cyganów, emigrantów rosyjskich itp. W jakimś stopniu bliźniacze dla Żoliborza w swoich założeniach, Stare Bielany, oddalone. Ta wyspowość i budowa miasta na surowym korzeniu spowodowały, że Budrewicz użył również określenia nieco zaskakującego, czyli *Brasilia* (Olgierd Budrewicz, *Żoliborz – Litwa Warszawy*, w: *Żoliborz*, Łódź 1970, s. 151-154).

Określenie „zielony Żoliborz” funkcjonowało najczęściej jednak jako kontrast z resztą Warszawy, a nie z przedmieściami i przyległościami dzielnicy. Przywołajmy dla przykładu fragment ze wspomnień Ireny Jurgielewiczowej, która spędziła całe swoje długie powojenne życie w budynku na Sarbiewskiego na Starym Żoliborzu. Pisze o swoim przedwojennym mieszkaniu na Chmielnej charakterystycznie: „Mieszkańcy tych różnych dziś anachronicznych budynków nie są zapewne zadowoleni ze swoich siedzib. Ja także czuwałbym się tam źle. Wolę jasny i zielony Żoliborz, najpierw naszą, potem moją powojenną dzielnicę” (*Byłam, byliśmy*, Łódź 1997, s. 30). Zwróćmy uwagę, że pisarka mówi tu o kamienicach, które w opinii niektórych miłośników dawnej architektury są esencją miejskości.

To ekologiczne wyrażenie, które mogło się zatrzeć pod koniec wieku choćby z uwagi na powszechność zieleni, dostało właśnie wtedy nieoczekiwane nowe życie. Mam na myśli *Warszawę*, wielki przebój Muńka Staszczyka i zespołu T. Love. Jego sukces na początku lat dziewięćdziesiątych, ale i ogromna popularność dziś, po dwudziestu przeszło latach od wydania na płycie *Pocisk miłości*, zasługuje co najmniej na uwagę. Utwór ten, będąc widocznie jednym z najciekawszych obrazów Warszawy z okresu schyłkowego PRL, wciąż coś aktualnego o tym mieście mówi. Znane frazy *Warszawy* – bo taki jest tytuł tej piosenki – takie jak: „a Grochów się budzi z przepicia”; „zza szyby oglądam betonu stolicę, już jestem na drugim jej brzegu”; „Krakowskie Przedmieście zalane jest słońcem, wirujesz jak obłok, wynurzasz się z bramy”; „jesienią zawsze zaczyna się szkoła, a w knajpach zaczyna się picie”; „jesienią zawsze myślę o latach tak starych jak te kamienice”; „kocham to miasto zmęczone jak ja, gdzie Hitler i Stalin zrobili, co swoje”. Właściwie cała ta piosenka – oparta na toposie roku na cztery części rozdzielonego – jest napisana z takich, skrzydlatych słów. Wśród nich jest oczywiście sformułowanie „zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz, rozkwii-

ta na drzewach, na krzewach”, chyba największy szlagwort tej piosenki. Jak twierdzi Wikipedia: „jest to prawdopodobnie najbardziej znany cytat dotyczący dzielnicy” (opatrzone jest to kuriozalnym, choć typowym dla tego portalu sformułowaniem: „potrzebne źródło”). Możliwe też, że to za pomocą tego właśnie wersetu Muniak dokonał reanimacji epitetu i „zielony Żoliborz” stał się popularnym wyrażeniem wśród nowych, młodszych pokoleń.

O okolicznościach napisania tej piosenki wspominał Staszczuk w *Dzieliach rewolucji*, gdzie przyznawał, że bezpośrednim motorem była nostalgia, która dopadła go na saksach w Anglii, a całość została zapisana na angielskim papierze toaletowym. Zastanawiający był dla wielu – i jest nadal – przymiotnik „pieprzony”, a wszystkie nieporozumienia wokół tej piosenki biorą się z tego, że może mieć on znaczenie pejoratywne. Czy odnosi się do przygody osobistej z pierwszej randki, gdy po odprowadzeniu wybranki piosenkarz tarzał się w krzakach, nie mogąc znaleźć przystanku 608. Czy „pieprzony” jest ambiwalentnym wyrazem? Może to kalka z angielskiego i po prostu jedynie wzmocnienie wypowiedzi, skoro Muniak był wtedy w Londynie. Czy w ówczesnej polszczyźnie potocznej słowo to mogło być użyte w takim znaczeniu i tak rozumiane. Jak rozumie się to zdanie dziś. Jest w nim dystans czy zachwyt? Na dodatek *Dzieci rewolucji* kończyły się peanem nad swoim miejscem, które Staszczuk znalazł wówczas – a jakże – na Żoliborzu „w kwadracie osiedla Zatrasię”. Po latach w jednym z wywiadów autor nadal z sentymentem mówi o dzielnicy („do dziś mam ogromną miętę do Żoliborza, wciąż chodzę tam do fryzjera”) i wyznawał, że nie do końca wie, skąd się to słowo wzięło. Nie wykluczał tej londyńskiej kalki. Przypominał również sobie, że „lokalna załoga żulerska szykowała” się na niego i kilka razy na ulicy musiał się z tych słów tłumaczyć.

Inny utwór rockowy zatytułowany *Warszawa* również związany jest z Żoliborzem i również nieco paradoksalnie. Mam na myśli zamieszczony na płycie *Low* z 1978 roku utwór Dawida Bowiego. Jego powstanie wiąże się z wizytą artysty w Warszawie w czasie podróży pociągiem z ZSRR. Bartek Chaciński pisał, że owa wizyta miała miejsce najprawdopodobniej 3 maja 1973 roku i rozbijał mity: „Wbrew mitom, których narosło wokół tej wizyty sporo, Bowie nie przesiadał się więc na Okęciu ani też nie miał do dyspozycji kilku godzin – chyba że postój wydłużyły nieprzewidziane okoliczności. Ekspres przyjeżdżał o 13:13 i planowo stał na dworcu 42 minuty. Czyżby tylko tyle trwał legendarny spacer po Warszawie?” (Bartek Chaciński, *Obcy w Warszawie*, „Polityka” z 10 stycznia 2011 r.) Dalszy ciąg wywodów dziennikarza ujawnia kłopot, jaki mamy z tą wizytą:

Przywitana go ładna, moderni-

styczna (przed spaleniem i przebudową w latach 80.) bryła dworca Warszawa Gdańska z okazałym widokiem na Żoliborz. Każdy nieobeznany z miastem obcokrajowiec ruszyłby niechybnie w tym kierunku. Po dwóch dniach upałów przyszło lekkie ochłodzenie, było pochmurno, ale nie padało. Warunki do spaceru były więc niezłe, ale czasu na tyle mało, że aby dotrzeć na plac Komuny Paryskiej (dziś Wilsona), bezpieczniej byłoby podjechać tramwajem lub taksówką.

Wiemy tyle, że trafił na miejsce, wszedł do księgarni i kupił kilka płyt z miejscową muzyką. Jedną z nich był album zespołu Śląsk, zawierający utwór *Helokanie*. Bowie nie opowiedział nigdy, która to była płyta, ale jedynym dostępnym wydawnictwem spełniającym kryteria jest *Śląsk. The Polish Song and Dance Ensemble vol. 2 (nr katalogowy Muza SX 0183)*. Z zakupami wrócił na dworzec i odjechał.

Najważniejsze dla nas jest to, że jeśli to był 3 maja i główna arteria Starego Żoliborza, czyli ulica Mickiewicza, musiało być już wtedy zielono, stąd zresztą hipotezy, że wcale to nie było w maju 1973, tylko w kwietniu 1976 (inny termin wizyty Bowiego w Warszawie; wtedy z kolei padał deszcz ze śniegiem), albo że brytyjski piosenkarz miał znacznie więcej czasu i zaszedł nie wiadomo dokąd, gdzie zobaczył więcej śladów wojny; albo że miał bardzo mało czasu i musiał wziąć taksówkę i że odzijały na niego tylko smutne widoki przejazdu przez przedwiosenną Polskę; że to skutek wizyty w trudnym mieście, jakim jest Warszawa bezpośrednio po łatwym i bezproblemowym (czyżby?) Los Angeles (w 1976 nie przyjeżdżał do Polski prosto z ZSRR, tylko z USA). To kilka z wariantów mity, które odnaleźć możemy u Chacińskiego i u innych próbujących się zmierzyć z rekonstrukcją tego dnia. Kilka lat po wizycie wraz z Brianem Eno Bowie rzeczywiście napisał ten wyjątkowo ponury utwór oparty częściowo o pieśń zespołu „Śląsk” (choć wedle słów piosenkarza miał ten utwór nieść nadzieję).

Tego samego dnia, kiedy Bowie wysiadł na Dworcu Gdańskim, Warszawę wizytował lubiany w krajach komunistycznych, wielki architekt brazylijski Oscar Niemeyer, główny odpowiedzialny za wybudowaną od podstaw nową stolicę państwa, Brasilię, co skwapliwie podchwycił i odnotował Chaciński. Wiemy, że gość dostał specjalną nagrodę SARP. Czy oglądał Żoliborz? Czy tylko własne dzieła na wystawie, którą otwarto na jego cześć? Zdjęcia opublikowane w prasie ukazują nam architekta chodzącego po Starym Mieście. Tekst Jerzego Hryniewieckiego omawiający wizytę sugeruje złą pogodę, bo zaczyna się od zdania: „Gorąco witaliśmy w naszym chłodnym i północnym kraju sławnego brazylijskiego architekta Oscara Niemeyera, twórcę architektury słonecznej, grającej

efektami światłocieniowymi...” („Polska” 1973 nr 8). Z drugiej strony na fotografiach ze Starówki jest dość słonecznie (ale mogą one przecież pochodzić i z 4 maja, który już tak ponury nie był, chociaż prasa pisze coś o „zatoce niżowej”, jaka dopadała Polskę tego dnia). Pytanie, czy Oscar Niemeyer na Żoliborzu zobaczyłby ekologiczną utopię, której przerośnięty, modernistyczny i nieludzki wariant uosabiał, pozostaje bez odpowiedzi.

Igor Piotrowski – adiunkt w IKP UW, doktor kulturoznawstwa, magister teologii, historyk kultury i warsawianista, współzałożyciel Pracowni Studiów Miejskich, autor m. in. monografii ulicy Chłodnej i pieśni Franciszka Karpińskiego.

Bartłomiej Kozek Zieleń jako pole bitwy – casus Pola Mokotowskiego

Czy trawa może być polityczna? Czy drzewa mogą stać się przedmiotem dyskusji o rozwoju miasta? Wygląda na to, że tak. Choć lokalni politycy przyznają się do tego raczej niechętnie, to przykłady konfliktów o zieleń – od wycinki osiedlowych drzew, poprzez modernizację parków, aż po groźbę ich zabudowania – każą zapytać o to, w jakim mieście chcemy żyć.

Miasto ożywa

Gdy wiosną 2009 roku w Warszawie wybuchła afera z próbą ogrodzenia przez właściciela działki fragmentu Pola Mokotowskiego, stolica była już rozdyktowana na temat przestrzeni publicznej i jej roli w mieście. Zapalnikami była sprawa Placu Grzybowskiego, na którym Joanna Rajkowska – na przekór planom na jego zmianę w wielki pomnik albo oznaczone pomnikiem miejsce pamięci, zdecydowała się postawić staw.

Pole Mokotowskie to przestrzeń znacznie bardziej imponującej wielkości niż plac Grzybowski. Ponad 80 hektarów w 3 dzielnicach (w większości na Ochocie) służy wypoczynkowi najróżniejszego sortu – od leniwego leżenia z książką na trawie, poprzez jazdę na rolkach czy rowerach, po masowe imprezy, tyleż zaciekawiające warszawianki i warszawiaków, co powodujące konieczność czasem dość intensywnego sprzątnięcia po nich.

Nic więc dziwnego, że gdy nadwiślańskiej wersji Central Parku groziło okrojenie i zmiana Ojei części w osiedle mieszkaniowe, podniósł się spory ruch protestu. Nie przyjął on może formy masowych demonstracji (aczkolwiek przy okazji podejmującej temat Rady Miasta odbył się happening), ale jeśli list Zielonych, apelujących o pilne przyjęcie przez samorząd planu zagospodarowania przestrzennego terenu publikuje „Gazeta Stołeczna” i podpisuje go w Internecie kilkanaście tysięcy osób, to wiedz, że coś się dzieje.

Gra o Warszawę

Pole Mokotowskie jako przestrzeń, w której działają społeczni aktorzy? Nie jest to perspektywa, która często przychodzi nam na myśl, gdy obserwujemy nalewającą się do tamtejszego jeziora na wiosnę wodę albo gdy patrzymy na opadające jesienią liście. Konflikt wokół pomysłów jego częściowego zabudowania unaoczniał jednak, że – jak każda przestrzeń publiczna – nie jest dana raz na zawsze, a wokół niej toczy się spór o to, kto jest właściwym depozytariuszem jej

„publiczności”.

Najważniejszych aktorów tego – i wielu innych konfliktów, nie tylko o teny zielone zresztą – jest czterech. Po pierwsze – inwestorzy, dla których jest to obszar potencjalnej komodyfikacji, czyli zamiany wartości pozarynkowej (przestrzeni odpoczynku, czystszy powietrza etc.) na zysk, co w wypadku Warszawy najczęściej oznacza drogie apartamentowce, dla wielu pozostające poza zasięgiem finansowym, ewentualnie zasięg ten mierzy się wieloletnim spłacaniem kredytów mieszkaniowych.

Po drugie – lokalna społeczność. Czasem – jak w wypadku Pola Mokotowskiego – staje się nią właściwie cała populacja miasta, częściej jednak spór dotyka znacznie mniej liczebnej grupy, jak np. w wypadku sporu o zabudowę wokół Jeziora Czerniakowskiego mającego status rezerwatu przyrody. Grupa ta – najczęściej walcząca o zachowanie status quo niż o wielkie przemiany publicznej przestrzeni – wchodzi w napiętą relację nie tylko ze zwolennikami zmian (np. deweloperami czy władzami miasta), ale też czasem ze stojącymi po ich stronie ekspertami i ekspertami, np. z organizacji pozarządowych, albo politykami opozycyjnych partii politycznych.

Politycy – to do nich należy rozstrzygnięcie tego typu sporów. Od tego, co uznają za priorytet, zależy los nie tylko przestrzeni zielonych, ale też np. tego, czy będą planować wydatki tak, by wykrzyszczać niż demograficzny jako szansę na poprawę jakości nauczania w szkołach, czy do zmniejszania liczby placówek. Sprawa Pola Mokotowskiego pokazała, do czego zaniechania tego typu mogą doprowadzić – dopiero medialny raban sprawił, że ruszyły prace na planem zagospodarowania przestrzennego, który przeleżał w urzędniczych szafach półtora roku. Brak spójnej strategii miasta wobec sportu sprawił, że na ostatniej prostej przyjmowania tego planu groziło mu dalsze leżakowanie, gdy w spór włączył się potencjalny inwestor na terenie Skry – stołecznego klubu sportowego z solidnymi tradycjami.

Do kompletu najważniejszych aktorów należy doliczyć również media, które w przypadku konfliktów lokalnych w pełni zasługują na miano „czwartej władzy”. Ich silne zaangażowanie się w informowanie i komentowanie wydarzeń takich jak konflikt wokół Pola Mokotowskiego ma moc mobilizowania opinii publicznej. Niestety, wszystko ma swoją cenę – jeśli lokalna społeczność nie zyska przychylności czy chociaż uwagi

mediów, istnieje spore ryzyko, że stać będzie na straconej pozycji. Ponieważ media ze swej natury wolą wydarzenia spektakularne, często pomijają działania, które mogłyby przynajmniej spróbować systemowo zapobiegać podobnym problemom w przyszłości. Dla przykładu niemal bez echa przeszedł pomysł opracowania raportu o konfliktach w przestrzeni publicznej, katalogujący miejsca tego typu sporów w celu opracowania i przyjęcia planów zagospodarowania przestrzennego na tychże obszarach w pierwszej kolejności. Dla miasta, które jest nimi pokryte raptem w około jednej czwartej, byłby to przydatny dokument.

Przestrzeń gry

Poza tymi czterema aktorami warto również wspomnieć o dwóch spojrzeniach na przestrzeń Pola – ekologicznym i społecznym. Jak już wspominałem, teren zielony ma istotne funkcje zarówno ekosystemowe, jak i stanowi przestrzeń społecznej interakcji. Spojrzenia te są ze sobą powiązane, ale mogą też być wykorzystywane do rozgrywania jednych kosztem drugich – i często są. Dla przykładu firma deweloperska, która chciała wejść ze swymi pieniędzmi na teren Skry, planowała tam budowę wieżowców. Ponieważ na tym obszarze postawiono określone wymogi dotyczące przestrzeni biologicznie czynnej, inwestor obiecywał, że je dotrzyma dzięki... umieszczeniu zieleni na dachach owych wieżowców. Choć z ekologicznego punktu widzenia wyszlibyśmy „na zero” (choć zważywszy na inne czynniki, jak np. potencjalne zabudowanie jednego z klinów nawietrzających, można by mieć co do tego wątpliwości), to jednak z punktu widzenia społecznej dostępności takiej przestrzeni sprawa ma się zgoła inaczej.

Przy okazji sprawy Pola Mokotowskiego mogliśmy zobaczyć, jakie narzędzia wpływania na politykę i opinię społeczną mogą mieć politycy, z jakich nie lubią korzystać (np. długotrwałych strategii i ich konsekwentnego wdrażania), a z jakich – jak najbardziej. Czasem wystarczy tak skonstruować program Rady Miasta (celowo lub przypadkiem), by to nie lokalna społeczność konfrontowała się z władzą, ale różne jej grupy – ze sobą nawzajem. Obrończyni i obrońcy Pola Mokotowskiego walczyli o medialną uwagę nie tylko z przedstawicielami inwestorów, chcących budować na Skrze, a także przedstawicielami samego klubu, ale też z protestującymi przeciwko złej polityce mieszkaniowej miasta. W ten prosty sposób można łatwo

zapobiec kreśleniu się nowych sojuszy miejskich aktywistek i aktywistów, które np. w Poznaniu zmateriałyzowały się w formie stowarzyszenia My-Poznaniacy, aktywnie i kompleksowo sprzeciwiającemu się polityce władz tego miasta.

Gra trwa

Pole Mokotowskie może być symbolem także z jeszcze jednego powodu – konflikt wokół jego ochrony był apogeum sporów o miasto z perspektywy ekologicznej. Choć i po nim zdarzały się konflikty o zagospodarowanie przestrzenne (np. wspomniane już Jeziorko Czerniakowskie), to jednak ich ciężar w Warszawie przeniósł się na kwestie społeczno-ekonomiczne. Duża w tym rola prężnego ruchu lokatorskiego, ale też organizujących się oddolnie rodziców, kwestionujących politykę zamykania szkół czy prywatyzowania szkolnych stołówek. Dyskusję o kosztach życia w mieście rozpalila podwyżka cen biletów komunikacji miejskiej, ale też prywatyzacja stołecznego przedsiębiorstwa ciepłowniczego i zapowiadane przez nowego, prywatnego właściciela podwyżki cen. Główni aktorzy pozostają jednak ci sami, dzięki czemu dyskusja o „prawie do miasta” toczy się nie tylko w modnych kawiarniach, ale też – czasem wręcz dosłownie – na ulicach.

www.twitter.com/BartlomiejKozek

Włodzimierz Karol Pessel Memento hortis

O ogródkach działkowych w Warszawie pisał interesująco Roch Sulima. Ale jego klasyczny tekst *Między rajem a śmietnikiem. Smutek warzywnych ogródków*, który znalazł się w poczytnej *Antropologii codzienności* (wyd. 2000), nosi datę 1989, a stoją za nim rozpoznania empiryczne jeszcze wcześniejsze, z czasów mojego dzieciństwa. Sulima (nb. pierwszy kierownik Pracowni Studiów Miejskich w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego) zajmował się działkami jako uniwersum, światem wyjętym z Warszawy, epatującym odmiennością swojej ikonosfery i, co najistotniejsze, istniejącym bez wyraźnego konfliktu z zewnętrznym otoczeniem, za to mającym ważkie znaczenie codzienne w kontekście kłopotów z zaopatrzeniem sklepów. Sporo spostrzeżeń profesora Sulimy nie uległo oczywiście dezaktualizacji. Nadal w maju pachną na działkach bzy – sprawdziliśmy organoleptycznie. Zagadnienia przestrzeni doświadczanej w małej skali, nagromadzeń cytatów z innych typów przestrzeni czy możliwość kreślenia typologii stylów altankowych nadal warto brać na warsztat folklorysty. Co innego jednak – również pomijając symboliczne przemianowanie ogródków z pracowniczych na rodzinne – stanowi dziś główny problem. Działki są teraz w mieście, jeszcze bardziej w mieście, w rozlewającej się metropolii, z implicitną polityką gruntową i urbanizacyjną, delikatnie mówiąc. Atrakcyjność gruntów w mieście stołecznym – to pierwsza śliska sprawa, rzutująca na proces przygotowywania miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, które powstają z mozołem i w sposób mało transparentny. W 2011 roku Warszawa miała gotowe plany zagospodarowania dopiero dla niespełna jednej trzeciej (27%) swojego terytorium.

Sprawa wtóra wiąże się z tym, że w Warszawie po 1945 roku przeorana i pogmatwana została dokumentnie dziedzina własności wraz z „topografią” nieruchomości (raz w życiu mogę zrobić przypis do specjalistycznej książki prawniczej własnego ojca: Ryszard Pessel, *Rekompensowanie skutków naruszeń prawa własności wynikających z aktów nacjonalizacyjnych*). Tylko jeden ROD, tj. Rodzinny Ogród Działkowy, ma użytkownika wieczyste z wpisem do ksiąg. Sytuacja wszystkich pozostałych ogródków w stolicy jest prawnie nieuregulowana, a przez to działkowcy, czy sami tego chcą, czy nie, wchodzi w konflikt z miastem, rozumianym jako projekcja administracyjno-urbanizacyjna. Przed warszawskimi sądami od kilku lat toczą się liczne postępowania o wydanie poszczególnych działek geodezyjnych zajmowanych przez ogródki. Co

prawda, napięcie między miastem a działkami zaznaczyło się już w początkach transformacji gospodarczo-ustrojowej, splecionej z „wielką zmianą” w sferze kultury, jednak po kilkunastu latach zostało stłumione przez polityków za pomocą swobodnego legistycznego fortelu. Do żadnego przesilenia, przeczuwanego przez Rocha Sulimę, na działkach nie doszło, gdyż w roku 2005, tuż przed przegranyymi wyborami, Sojusz Lewicy Demokratycznej przegłosował Ustawę o ROD. Monopol władzy nad działkami przyznano PZD, tj. Polskiemu Związkowi Działkowców, z zarządem „zabetonowanym” od schyłku Polski Ludowej; Eugeniusz Kondracki, sam uprawiający ogródek w prestiżowym kompleksie na Sadach Żoliborskich, wraz z członkami własnej rodziny kieruje związkiem od trzech dekad. Kierownicza rola tej „partii” opiera się na prawie dzierżawy około dwóch trzecich terenów zagospodarowanych w całym kraju przez ogródki działkowe (2/3 z prawie 45 tys. hektarów!). Stan prawny reszty polskich ogródków pozostaje *in der Luft hängt*, jak powiedzieliby nasi miłujący porządku germańscy sąsiedzi.

W świetle ustawy z 2005 roku żaden spośród działkowców nie ma statusu wyłącznego dysponenta ani tym bardziej właściciela działki; prawo to przysługuje „partii”. Bez jej zgody niemożliwe jest nadto, na przykład, przejęcie ogródka po zmarłej babci. By wejść w posiadanie nieposiadania ogródka należy wstąpić do PZD i odbyć specjalnie związkowe szkolenie. Organ „partyjny”, czasopismo „Działkowiec”, regularnie w ostatnich latach przekonywało swoich odbiorców do dobrodziejstwa ustawy z 2005 roku, akcentując fakt, że działkowcy są przecież właścicielami indywidualnego „wkładu” w uprawiany skrawek gruntu: nasadzeń, wyposażenia altanki itd. (każdy następny działkowiec sptała dlatego poprzednika – i są to kwoty zazwyczaj od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy). Działkowa „partia” może wyżywić się z nawiązką, gdyż skrupulatnie pobiera od działkowców obowiązkowe składki, lecz nie rozlicza się z nich publicznie, korzystając z przywileju organizacji społecznej. Jednocześnie skutecznie trzyma w szachu gminy. Dotychczas obowiązująca ustawa uniemożliwiała PZD sprzedaż prawa do gruntów zagospodarowanych pod ogródki, co wolno uczynić innym użytkownikom wieczystym, aczkolwiek przypisywała gminie jako prawowitemu właścicielowi tychże gruntów prawo do pierwokupu za jeden procent wartości rynkowej.

Przed laty Rocha Sulima pisał, że działki wiążą się z namiastką ordynowania, posiadania, bycia właścicielem,



Kompleks ogródków działkowych Formosavej, w pobliżu Amager Strand,

Wykop kopenhaskiego metra i ogródki działkowe na Amagerze

posesjonatem. Teraz Warszawa, miasto administratorów, zakwestionowało tą grządkową ordynację. Sulima zauważał, że działki były miejscem zrzućcia trosk i kłopotów. Dziś to one są źródłem kłopotów: kulturowa instytucja obronna, oporu przeciwko miejskości, zamieniła się w instytucję wymagającą obrony politycznej. Rzeczywistość dogoniła Foucaulta, działkowcy zdobyli potencjał polityczny: „dziś prosimy, jutro głosujemy” – takie hasła zdobyły banery podnoszone przez uczestników II Kongresu Polskiego Związków Działkowców 22 września 2011 roku (data nieprzypadkowa!). To, czy działkowcy utwierdzają, czy rozmywiają granicę między naturą i kulturą zdaje się schodzić na boczny plan, gdy działkowcy piszą listy do marszałkini Kopacz i używają retoryki na miarę współczesnej kultury politycznej: „*Gdyby u Pani Marszałek, nie daj Boże, wystąpiły już objawy demencji, proponujemy hortiterapię w naszym rodzinnym ogrodzie działkowym*” (oficjalny adres z 17 marca 2012 roku).

Przypadek laboratoryjny takiej „polityczności” stanowi zespół ogródków przy al. Waszyngtona, których zresztą sąsiadem przez wiele lat był Roch Sulima. Otóż, władze Warszawy miasta zdążyły już raz, za miejskiej prezydentury Lecha Kaczyńskiego, formalnie zwrócić „byłym właścicielom”, ściślej, nieznannej proweniencji spółce pod nazwą Projekt S, ponad 30 hektarów w rejonie al. Waszyngtona i Kinowej. Związkowi oraz indywidualnym działkowcom odmówiono zarazem udziału w postępowaniu jako stronom. Działkowcy używając trafnego argumentu z „niejasnych okoliczności” ostatecznie zablokowali ten zwrot gruntów, zainteresowany nim urząd prokuratorski. Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy tłumaczył się, że nieprawidłowości dopuścili się za jego plecami urzędnicy; poleciała wówczas głowa wiceprezydent Doroty Safjan. Prokuratorzy odszukali dokumentację wskazującą na to, że rozszczenia do zielonych terenów na Pradze Południa są bezzasadne, wszakże dawni właściciele „w prawie” uzyskali

uprzednio odszkodowanie. Nie minęło jednak wiele czasu i warszawscy urzędnicy, już za prezydentury Hanny Gronkiewicz-Waltz, wytoczyli PZD sprawę o wydanie ogrodów. Ogłosili, że działki zajmują teren na Pradze Południe nielegalnie. Co by znaczyło, że dzieje się tak od półwiecza, bo tyle ogródki te istnieją – zostały założone na przełomie 1952 i 1953 roku i były przydzielane głównie pracownikom Cory i Wedla. Urzędnicy zbyli taką okoliczność stwierdzeniem, że decyzje organów władzy, w oparciu o które lokowano ogrody, wydają się obecnie niewystarczające. Tak odzywa się kłopotliwe dziedzictwo gospodarowania gruntami warszawskimi po 1945 roku. Zdziczały wolny rynek nie toleruje własności, która nie jest własnością, i waży lekce historyczne nawarstwienia.

Narastający problem ROD-ów w Polsce zdetonowany został 11 lipca 2012 roku, gdy to Trybunał Konstytucyjny ogłosił uznanie za sprzeczne z Konstytucją RP aż dwudziestu czterech artykułów ustawy z 2005 roku. Wcześniej, w 2010 roku, prezes Sądu Najwyższego (wówczas prof. Lech Gardocki) wystąpił z prośbą o zbadanie zgodności ustawy z konstytucją. Trybunał, między innymi, surowo ocenił monopol PZD na przydzielanie i administrowanie ogródkami, a także podważył zwolnienie działkowców z opłat na rzecz samorządów i zakwestionował przepisy ograniczające wpływ gmin na zarządzanie działkami. Praktycznie rzecz biorąc, ustawa została wyrzucona do kosza, a parlament ma osiemnaście miesięcy na uchwalenie nowych przepisów. Weszliśmy tak o to w czas liminalny: stary porządek został obalony, a nowy ład nie otrzymał jeszcze zarysów, z góry napawając szeregowych działkowców niepokojem bądź zniechęceniem, działacze natomiast – wściekłością. Próżnia ta zapełniana jest, jak to się mówi, dyskursem. Obserwuję wysyp publikacji poświęconych działkowcom i aktywistom z PZD. Nie ma tu wystarczająco dużo miejsca na cytaty ani obszerne przypisy. Zaznaczę więc tylko, że publikacje te, nawet jeśli aspirują do

rzetelnego przedstawienia złożoności sytuacji ogródków działkowych, wykazują określone tendencje polityczne. Jeśli nie eksponują racji PZD, to oddają głos samorządowcom albo inwestorom, widzącym w ogródkach korzyści bardziej wymierne od paru tyczek z pomidorami. Niekiedy mowa jest nawet o krzywdzeniu samorządów. Również argument z rzeszy członków PZD jako elektoratu politycznego wydaje się bałamutny. Nie znam żadnych badań ilościowych dotyczących preferencji politycznych działkowców, w szczególności tych zwykłych, to znaczy, po prawdzie, zmuszonych do zapisania się do „partii”. Niepodobna sądzić jednak, że głosują jak jeden mąż na jedno stronnictwo. SLD obmyśliło ustawę, ale od wielu lat „sympatyczne starsze panie podlewające kwiatki” kokietyują wszystkie partie. Ludowcy robią to spektakularnie, bo puszczają perskie oko do „trzymających władzę” w związku: wicepremier Waldemar Pawlak w towarzystwie innych postów PSL-u i Grzegorza Napieralskiego wziął udział w ubiegłorocznym kongresie PZD odbywającym się w hali na Torwarze i mającym znamiona demonstracji siły i jedności. Tymczasem PO i PiS wypuszczają w eter mętne sygnały o potrzebie zlikwidowania związku i uwłaszczenia działkowców. Również Ruch Palikota zapowiada teraz przygotowanie własnego projektu nowej ustawy.

Jest takie pytanie o prawo do miasta, o prawo do przestrzeni, powielane przez socjologów, aktywistów miejskich i różnej maści oburzonych za Henri Lefebvre’em. Dość przewrotnie, proponuję jej zwrócić ku działkowcom, którzy jeszcze uprawiają swoje grządki przy Raławickiej, na Promyka czy przy Ildzikowskiego. Nie potrafię ocenić naprędce, ferować wyroku, co na Wotoskiej na Mokotowie jest bardziej nie na miejscu: działki na tle biurowców czy nowoczesne biurowce „następujące” na działki! Za to Marek Mikos, pełniący obowiązki Dyrektora Biura Architektury i Planowania Przestrzennego w magistracie, już przed paroma laty przepowiadał arbitralnie, że

działki *doce/owo* mają zniknąć w Warszawie. Moim zdaniem, istota problemu zawiera się w tym, że żadne jednoznaczne, radykalne rozwiązanie nie może być dobre, podczas gdy liczenie na zdrowy rozsądek i opanowanie się polskich parlamentarzystów oznaczałoby grubą naiwność, podobnie jak wiara w zawsze tylko dobre i bardzo dobre intencje stołecznych samorządowców w odzyskiwaniu gruntów. Z jednej strony, zachowanie *status quo ante* nie tylko byłoby usankcjonowaniem prawnego dziwoląga i karykatury demokracji związkowej, leżącej w interesie grupki wybranych, ale podtrzymywało sztuczną blokadę gospodarczą – ani właściciel, ani dzierżawca nie mają ostatniego słowa w kwestii terenów, na które na dodatek łapczywym okiem spoglądają developerzy. Wobec takiego stanu rzeczy mogą pojawiać się nadużycia i kombinatorstwo. Przeto rozsypywanie stosunków własności miało być jednym z fundamentów polskiej transformacji, trwającej już lat ponad dwadzieścia.

Z drugiej strony, w przypadku otwartego uwłaszczenia działkowców obawiałbym się złej strony ludzkiej natury, wrodzonej nieodporności na mamonę. Inwestorzy oferujący po kilka czy dziesięć tysięcy za jeden metr kwadratowy dysponują siłą perswazji mogącą prędko i zupełnie po cichu unicestwić ruch działkowy jako taki. Co najwyżej, ocalałyby działkowe enklawy, bronione przez działkowców przed czterdziestką, poczuwających się do ekologicznej awangardy albo pragnących schować się w kulturowej niszy. Powszechnie nadużywany w dyskursie zwrot „ogródki zajmujące najbardziej atrakcyjne tereny inwestycyjne” demaskuje fakt kluczowy: zabrakło myślenia o działkach w kategoriach cennej rezerwy przestrzeni zieleni i rekreacji. Już to na Waszyngtona, gdzie, wedle planów snutych jeszcze przez Stefana Starzyńskiego, miała powstać nowa dzielnica dorównująca Saskiej Kępie i przebiegać duża arteria drogowa będąca przedłużeniem dzisiejszej ulicy Ostrobramskiej, już w okolicach ulicy Promyka, gdzie miała dokonać się dalsza rozbudowa Żoliborza Dziennikarskiego, rodzinne ogródki działkowe pełniły funkcję jakby plomb na mapie „Warszawy niezależności”. Ale tym samym zabezpieczają tę przestrzeń przed dzikim kapitalizmem na pokaz. Na tle chaosu przestrzennego takie zielone, ekologiczne plomby to bez wątpienia wartość dodana.

Nie mówię: *działki albo śmierć*. Powiadam: *memento hortis*.

Dopiero po kilkunastu latach kontaktów oraz akademickiego zajmowania się Danią i jej kulturą zacząłem dostrzegać tamtejsze ogródki działkowe, czyli *kolonihaver*. I jak już je dostrzegłem, dotarło do mnie, że siła ich! Jadąc we wrześniowy dzień 2012 roku pociągami IC z Kopenhagi do Aarhus, mijane po drodze ogródki przestałem liczyć. Dają też znać o swoim istnieniu



Czapla w późno-nowoczesnym środowisku wielkomiejskim – dzielnica Ørestad



Nowoczesna mieszkaniówka i zielen miejska w Kopenhadze.

i społecznym znaczeniu w rozlicznych rozmowach codziennych, przygodnych orzeczeniach w rodzaju „lato było bardzo ładne, mogliśmy cały czas mieszkać na działce”.

W Kopenhadze, dziwnym jakimś trafem, z warszawskiego punktu widzenia, *kolonihaver* nie wadzą nikomu na „cennych terenach inwestycyjnych”. Przykładem kompleksu przy Formosavej na wschodnim Amagerze, w pobliżu Amager Strand, gdzie altanom z ogródkami ani trochę nie szkodziła obecność wykopu ultranowoczesnego, bezobsługowego Metra, nitki łączącej lotnisko z centrum. Albo i zachodnie Amager, czyli zupełnie nowa dzielnica Ørestad, rozwijająca się od czasu otwarcia mostu do Szwecji (1998). Jedni zagraniczni architekci innowacyjną architekturę wychwalają, drudzy widzą w niej ekstrapolację pudełkowego stylu w skandynawskim wzornictwie przemysłowym na nową zabudowę mieszkalną. Ot, kwestia gustu i stosunku do skandynawskiej racjonalności. Doprawdy ważne jest to, że innowacyjne, piętrowe budowle Ørestad dokonano do istniejącej niskiej zabudowy, w tym *kolonihaver*, nie zaś odwrotnie; całość natomiast pomysłowo

uzgodniono z wyspiarskim otoczeniem naturalnym. Wprost z parkingu, schowanego w trzewiach „bloku”, wyjść można na mostki, łączki, ku naturalnym ciekom wodnym, gdzie spokojnie żerują czaple.

Nad Sundem idea kultury robotniczej, *arbejderkultur*, nigdy nie uległa politycznej falsyfikacji, więc nie zdewaluowała się w historii. Ideologowie „państwa dobrobytu” wprawdzie częstokroć utyskiwali na to, że klasy „doszlusowujące” nie stworzyły kultury własnej, przejmując mieszczańskie wartości i standardy, jednak to dzięki temu właśnie społeczeństwo duńskie nabrało egalitarnego charakteru. Przy tym nie wyparło się chłopskich korzeni, nie wstydy przywiązania do ziemi i środowiska naturalnego. Można by to nazwać niewymuszoną albo uogólnioną postawą ekologiczną. Nie ma nic zdrożnego w chęci pogrzebania sobie w ziemi od czasu do czasu i dla przyjemności.

Włodzimierz Karol Pessel – kulturoznawca i skandynawista, adiunkt w IKP UW, kierownik Pracowni Studiów Miejskich, sekretarz Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego.

Magdalena Zych Media na działkach

Nie, to nie będzie o portalach, gazetach, serwisach i czwartej władzy. Będzie o prądzie, wodzie i innym uzbrojeniu działkowca. To są media, o które warto zabiegać, żyć z nimi w zgodzie, optać na czas. Istotna, niematerialna sfera kultury duchowej wyrażona w relacjach z wodą i prądem.

Przez kilka lat (2009-2012) Muzeum Etnograficzne w Krakowie zajmowało się kulturą działek. Naszym motorem było pytanie: co robią działkowcy na działkach? W liczbach gęsto: przebadano dziesięć ogrodów (zlokalizowanych w Krakowie, Wrocławiu, Katowicach), udział wzięło ponad siedemdziesięciu działkowców, dwudziestu badaczy różnych profesji (etnografów, antropologów, muzealników, socjologów, etnobotaników czy historyków sztuki). Długie godziny nagranych rozmów, setki stron notatek, transkrypcji. Fotografie. Wystawa. Czterystustronicowa książka. Powstała także kolekcja, utrzymana trochę w klimacie gabinetu osobliwości i scenografii teatru Kantora. Kolekcja opowiada ów świat ze środka miasta i jednocześnie estetycznych obrzeży, świat zszyty i zespawany z oficjalnym miejskim rytmem i dzikim, prawdziwym życiem ludzi i rzeczy na działkach.

Kto wie, jak to jest, przyjść w rozpiętej kurtce na działkę w marcu, w uniesieniu bo przecież wiosna, działkę własną od niedawna, dziwić się surrealizmowi tej decyzji, absurdowi okoliczności, działkę wprawiającą w dobry humor, gdyż wyjątkowo równą wszystkim innym zimowym działkom, niezachwaszczoną, bo przecież śnieg i roztopy, a więc przyjść na swoje włości-niewłości i zobaczyć wyrwę po hydrancie? Nic o tym nie wie ten, kto nie stracił. Potem śledztwo – gdzie był złodziej? Są tacy, co widują złodziejskie ślady nawet zimą. Niektórzy działkowicze odwiedzają ogródki, a żeby pić kawę na śniegu i urządzić rodzinne grillowanie, lub po prostu włączyć elektryczne poduszki zaprzyjaźnionym kotom. W złodziejskiej profesji chodzi o miedź w rurce, nędzne parę deko. A potem weź się uganiaj za gospodarzem ogrodem, jakie „fi” ma mieć rura, a jakie wodomierz, weź to legalizuj i martw się, żeby nie zwinęli znowu, bo przecież to swoi, osiadli na amen, z własnymi kurami we własnej altance, żyjący z przetwórstwa metali. W końcu operacja zakończona, na szczęście tylko raz się trzeba było wracać do sklepu z hydrauliką po uszczelkę. Nadchodzi dzień, w którym na działkach puszczana jest woda. Po ogrodzie krąży kilku starszych jegomości na składakach typu Wigry-3. Nerwowo krążą, jeden nawet całkiem mokry. To samozwańcza i zrazem demokratycznie



Fot. Aleksander Duraj

wybrana służba wodna. Jednemu właśnie hydrant wywaliło po zimie. U nas działka. Z opowieści znam historie konfliktów o to, komu mają zryć działkę, kiedy było potrzeba założyć wodociąg.

Są też na ogrodach studnie. I życie przy studni lub pompie. Jak sprawić wrażenie, że obsługa ogrodowej studni to rzecz ci znana od dziesięcioleci? Podchodzisz pewnym krokiem, szarpiesz się z metalową pokrywą, spada łańcuch z wiaderkiem. Potem odpowiednio nonszalancko trzeba przelać studzienną wodę do wiaderka, przegiąć się na bok z wiaderkiem, a drugą rękę odgiąć na wysokości barku albo przysadzić się do ziemi dwoma wiaderkami. Nosiwoda działkowy sapie i męźnie taszczy, nie dla siebie przecież, a dla działki. Bo wszystko dzieje się dla działki.

Zmiana pokoleniowa na działkach ma właśnie teraz miejsce. Emerytowani stykają się z młodszymi. Są i roczniki przedwojenne, i ze stanu wojennego. Gdy jesteś nowy, twoje akcje idą w górę, gdy latasz po porady, wciągniesz się w grządki, strzyżesz trawę, chwasty do sąsiadów nie pylą, i gdy krety odganiaasz brzękiem puszek na drutach. Upiększysz altankę, wkomponujesz kostkę Bauma w ścieżki i będziesz normalnym działkowcem, jak kanon podpowiada. Tymczasem fakt wykorzystania altanki na odizolowany

gabinet i zużywanie działkowego prądu na ładowanie baterii w laptopie, zamknięcie się w altance i pisanie, podczas gdy dżungla wciska się przez okna, nie wzbudzają zrozumienia. A skąd wziąć prąd na działkach? Działkowy prąd znajdziemy w skrzynkach. Czasem każdy ma własną. Powiedźcie sami, dłaczego prezes uznał, że każdy ma mieć własną skrzynkę za prawie cztery stowy? W efekcie znajoma bojkotując ten cennik kosi trawę sierpem i kosą. Czasem też jest jedna skrzynka na kilka działek. To metalowe, zadaszone, szare pudełko, zamontowane na wysokości kolan na zewnątrz ogrodzenia, z kościotrupem na drzwiczkach. Skrzynki z prądem są podstawowym elementem wyposażenia ogrodu, gdyż prąd potrzebny jest do koszenia trawy. Od skrzynek podziemna instalacja prowadzi prąd do altan. Tam są gniazdzka i żarówki. Co sobotę płynnie siła w żyłach kabla, i kosi, i kosi, i strzyże. Z godnością, w skupieniu, wpatrzeni w żdźbła, krok do przodu, kroczone do tyłu, kosiarze ocierają pot i dają odpocząć uszom co kilka minut. Porykują kosiarzki, zapach spalin spowija okolicę. Łatwo można sobie wyobrazić scenę zbiorową baletu kosiarzy, pierwszy rząd dzierży podkaszarki, drugi rząd kosiarzki, soliści na chwilę wpadają z piłami. Ot, miejscy ogrodnicy.

I oczywiście butle gazowe. Bo gotujemy na działkach obiady. Grill grill-

lem, nic nie mówię, ale te obiady. Bywało ongiś, że schodziła się cała rodzina, mąż po robocie, dzieci po szkole. Przyniesienie zupy w słoiku, gołąbków do odgrzania. I bywa także dziś, gdy jakaś para spędza cafe lato bez troski, ozdobne, wśród miejskiej zieleni. A przecież jeść trzeba. Zagotować wodę na kawę to w ogóle podstawa. Butla, bywa że zmyślnie w altance ukryta, niepozorna, z rzadka nabijana, stanowi niezbywalny działkowy rekwiwit.

Gazowy płomień to nie to samo co płomień ogniska. Ten smakuje niczym zakazany owoc, skoro gminny przepis zakazuje rozpalać ogniska w mieście. A kiedyś był jeszcze w cenie zestaw: ognisko i wódka. Zmiana obyczaju przyniosła trochę mniej wyrazisty: grill i browarek. Kultura grilla rozkwita pośród ogrodowych poletek. Nie zanika przetwórstwo spożywcze. To z kolei działalność cicha, niemedialna, bez prądu się obędzie. Bimbrownie, destylacje, drożdżowe pomruki, wędzarnie. Pigwówki, śliwovice, księżycówki.

Teren ogródków jest więc na ogół uzbrojony. Narzędzia walki o własną wolność i święty spokój to hydrant i wąż, skrzynka z prądem i kosiarka, butla, grill, rożen i garnki. To przedmioty, w których potęga codzienności leniwie drzemie, niewidoczna, albo przyczajona atakuje zniemacka awarią. To są ramy działkowej egzystencji. Między nimi rosną i mrą rośliny, a także ludzie. To jest zamieszkiwanie w krajobrazie, nie zaś jego konsumpcja.

Media na działkach to także inne niematerialne obecności. Spotyka się byłych właścicieli, pochowane pod skalniakiem psy oraz bohaterów własnych wspomnień, od których na działkę człowiek stara się uciec. Uobecniają się także sny. Pewnego razu któremuś z działkowców przyśniła się matka i prosiła, aby zajął się różami. Innym razem ktoś mówił, że czuje obecność osoby, która odstąpiła mu działkę. Jeszcze inny raz w miesiącu pije koniak z synem zmarłego przyjaciela z ogrodu, na pamiątkę nieboszczyka właśnie. Koleżance filmującej działkowców śniło się, że ma ich montować w rytmie świata. A ja raz śniłam o wielkim polu podzielonym na niezagospodarowane działki. Sen zabrał mnie do Warszawy, szłam w stronę południa, na horyzoncie majaczyły zawiślane ruiny. Było dużo stońca z nieba i żadnych hydrantów, żadnych skrzynek. Tylko ogólna idea działek – jako świetlistego miejsca w mieście.

Magdalena Zych – etnografka, doktorantka UJ, zajmuje się współczesnymi kolekcjami etnograficznymi. W Muzeum Etnograficznym w Krakowie koordynuje projekty badawcze, w tym „dzieło-działka” (projekt właśnie zakończony) i „Wesela 21”.

Łukasz Bukowiecki Na tropie zieleni miejskiej w Bangkoku

Stolica Tajlandii, Bangkok, tworzący gigantyczną aglomeracją miejską, w obrębie której mieszka, według różnych statystyk, od 10 do 12 milionów ludzi, w Europie rzadko kiedy i rzadko komu przychodzi na myśl jakiegokolwiek skojarzenia z zielenią miejską czy, mówiąc ogólniej, elementami środowiska przyrodniczego.

W wizerunku miasta sprzedawanym turystom, w Internecie, ale też pod postacią niezliczonych broszur, przewodników i poradników, podkreśla się różnorakie kontrasty definiujące specyfikę Bangkoku, np. między tradycyjnymi świątyniami i kapliczkami buddyjskimi a pnącymi się w ich sąsiedztwie wysoko w górę wieżowcami, między bieda-domkami z dykty a eleganckimi rezydencjami, między nieujarzmionym handlem ulicznym i bazarowym a przepychem wytwornych sklepów w galeriach handlowych. Wszystkie te, skądinąd rzeczywiście dające się zaobserwować empirycznie, opozycje sprowadzają się do schematycznego i na siłę rozłącznego przedstawiania dwóch odmiennych porządków kulturowych, własnego i importowanego, a właściwie do dwóch stadiów rozwoju społecznego, w którym to, co własne (miejscowe, „biedne”, oddolne), rzekomo musi – na drodze ewolucyjnej konieczności – ginąć jako „stare” i „odchodzące” w przeszłość, by ustąpić miejsca produktom globalnej modernizacji (odmiejscowionym, „bogatym”, wprowadzanym odgórnie). Ona zaś niby nie tylko wyznacza Azji przyszłość „na światowym poziomie” (według zachodnich standardów), lecz również przekonuje świat, by spoglądając w przyszłość, kierował swe oczy właśnie ku Azji.

Zawieszając w tym miejscu rozrachunek z tym węzłem nieporozumień i nonsensów (czyżby świat rozwijał się linearnie i wspólnie?, czyżby nierówności między ludźmi miały zniknąć?, czyżby Azja miała być finalnym punktem dojścia cywilizacji euroamerykańskiej?), przyznajmy, że wśród opozycji opisujących dokonujące się w ostatnim półwieczu gwałtowne zmiany w tkance miejskiej Bangkoku nie znajdujemy, tak typowej w przypadku europejskich przygód z modernizacją i urbanizacją, dychotomii natura – kultura (przyroda – cywilizacja). Taką parę tworzy bowiem Bangkok jako całość (swoista metonimia cywilizacji jako takiej) w kontraście wobec reszty kraju czy wręcz całego regionu tzw. Azji Południowo-Wschodniej z jej rajskimi plażami na bezludnych wysepkach, niedostępnej dżunglą w interiorze czy szerokimi deltami rzek pełnych niebezpiecznych dla człowieka stworzeń. Oczywiście jednak przyroda jest w Bangkoku obecna.



Bangkok położony jest na dwóch brzegach rzeki Chao Praya – na dawnych terenach zalewowych, kiedyś wiecznie podmokłych i okresowo zalewanymi (vide pola ryżowe), z czasem poddanych melioracji za pomocą sieci kanałów irygacyjnych (spławnych, więc pełniących również funkcje komunikacyjne), wreszcie celowo osuszanych. Podobno jeszcze 150 lat temu aż 90 procent społeczności Bangkoku, liczącej wówczas około 400 tysięcy mieszkańców, żyło w „domach na wodzie”, posadowionych na palach wzdłuż kanałów. Dzisiaj w wielomilionowej aglomeracji udział procentowy ludności, która nie ma adresu przy ulicy, lecz przy kanale, jest zdecydowanie niższy, choć w liczbach bezwzględnych prawdopodobnie wzrósł.

Na zachodnim brzegu rzeki, na którym rozlokowały się przedmieścia Thonburi, wciąż większość domów posadowiona jest na palach, a podstawowym środkiem transportu pozostaje płaskodenna łódź – wiosłowa w przypadku mieszkańców, motorowa w przypadku turystów. Natomiast na wschodnim brzegu, na którym znajduje się całe historyczne śródmieście, wszystkie dzielnice biurowe i handlowe oraz wiele dzielnic mieszkalnych Bangkoku, większość kanałów została zasypana albo ujęta w betonowe korytka, na poziomie terenu nie ma już po nich śladu. Miasto nie tyle w przeważającej mierze odwróciło się więc od rzeki, ile nadbudowało się na grzęzawiskach. Nie sposób ocenić, jakim wysiłkiem w takich



warunkach hydrogeologicznych udało się pomyślnie zbudować w ciągu kilku minionych dekad wszystkie oznaki betonowej prosperity tej części miasta: kwartały pełne wieżowców, wielopoziomowe skrzyżowania wielopasmowych dróg ekspresowych, nadziemną i podziemną kolejkę miejską. Zwłaszcza budowniczości tej ostatniej mogliby doradzać kolegom budującym drugą linię metra warszawskiego, jak radzić sobie z podmokłym gruntem.

Nie ulega wątpliwości, że w Bangkoku kluczem do przyrody nie jest, w odróżnieniu od typowych europejskich miast, litosfera i biosfera (ziemia, to, co na niej rośnie, i to, co żyje na tym, co rośnie), lecz hydrosfera (cieki wodne, również te schowane pod ziemią) i nasycona nią atmosfera (stałe obecna w powietrzu wilgoć). Najważniejsza różnica w podejściu do przyrody, jaką zaobserwowałem, polega natomiast na tym, że w Europie na wiele sposobów chroni się środowisko przed zgubnym wpływem ludzi, natomiast w Bangkoku – bo nie chciałbym uogólniać, pisząc: w Azji – to raczej ludzie chroni się przed kaprysami Matki Natury. W celu ochrony przed wodą jako taką w najróżniejszych miejscach – czasem dla przybysza z zewnątrz zaiste przedziwnych i nieoczywistych, niemal dosłownie na środku ulicy – z worków z piaskiem ułożone są, chyba

na stałe, małe wały przeciwpowodziowe, chroniące nie tyle przed wodą występującą z koryt rzeki i kanałów, co monsunową wodą opadową, wobec której system kanalizacji burzowej bywa bezradny.

W Bangkoku wilgotność powietrza utrzymuje się przez całą dobę na poziomie 90%! Ochronę przed taką wilgocią zapewnia klimatyzacja, działająca non-stop w niemal wszystkich budynkach usługowych nastawionych na obecność turystów, nienawykłych do miejscowych warunków klimatycznych. Są to więc hotele, centra handlowe, sklepy, gabinety masażu, restauracje czy muzea, przy czym w budynkach zabytkowych, pałacach i świątyniach, zamiast klimatyzacji spotkamy raczej „mniej inwazyjne”, ale przy tym mniej efektywne, wentylatory. Klimatyzowane są natomiast wszystkie wagony nadziemnej kolejki miejskiej BTS Skytrain, jednego z najbardziej rzucających się w oczy symboli późnej – i niedokończonej – modernizacji Bangkoku.

Mimo że ciągnące się przez miasto kilometrami betonowe estakady, po których poruszają się pociągi BTS, przywodzą na myśl, zwłaszcza po zmroku, antyutopijne obrazy znane z *Metropolis*, są od wyobrażeń Fritza Langa znacznie młodsze: system Skytrain zaczął działać dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych

XX wieku. W pełni kompatybilne są więc z nim tylko te elementy tkanki miejskiej, które mają najwyżej kilka-kilkanaście lat, w tym przede wszystkim liczne nowe galerie handlowe, w których wejścia zaprojektowano na poziomie wyżej ze stacji kolejki nadziemnej, czyli mniej więcej na poziomie trzeciej lub czwartej kondygnacji, licząc od poziomu terenu. Nawet odległość od stacji nie jest tu problemem: między przystankami BTS a położonymi nieco dalej od nich centrami handlowymi wybudowano bowiem *skywalks*, czasem wielosetmetrowe kładki, na których nie spotykają się ludzie różnych światów.

Zepchnięty do podziemi system dawnych kanałów irygacyjnych i rozpostarta nad miastem pajęcza sieć transportu zbiorowego i pieszych kładek pozwalają myśleć o Bangkoku jako o mieście trójpoziomym, którego układ wertykalny odzwierciedla nie tylko historyczne przemiany miast, kolejne jego nadbudowy, lecz także – a może przede wszystkim – odpowiada szczeblom drabiny podziału społecznego.

Oto bowiem poziom dolny (-1), wodny, w przeważającej części Bangkoku schowany pod ziemią, wychodzi na powierzchnię w tej części miasta, tzn. Thonburi na zachodnim brzegu Chao Prayi, którą zamieszkuje najbiedniejsza część jego ludności, żyjąca często z uprawy (na własne potrzeby) małych poletek ryżowych, na które rozlewa się woda z kanałów irygacyjnych. Posadowione na palach wzdłuż kanałów bieda-domki, w których mieszka się nie z wyboru, lecz z konieczności, są jedną z najbardziej „malowniczych” atrakcji w programie zwiedzania Bangkoku, lecz zamieszkujący je ludzie nic na tym nie zyskują, poza przelotnym, choć możliwe, że pełnym empatii, spojrzeniem turysty, rzuconym z pędzącej kanałami motorówki. Na pewno nie tylko w tym sensie mieszkanie na wodzie stygmatyzuje.

Poziom górny (+1), powietrzny czy podniebny, zarezerwowany jest dla tych, których stać na korzystanie z niego – przede wszystkim dla przedstawicieli miejscowej klasy średniej wyższej oraz, oczywiście, dla zagranicznych turystów. W jaki sposób nie dopuszcza się do tego sterylności, klimatyzowanego mikroświata osób niepożądanych? W przypadku galerii handlowych wszystkich wejść, a przede wszystkim tych z poziomu ulicy, strzegą ubrani w galowe mundury strażnicy i systemy bramek podobne do tych spotykanych na lotniskach. Natomiast o dosłownie rozumianej ekskluzywności kolejki BTS decydują zaporowe ceny biletów. Cena biletu rośnie wraz z odległością, którą chcemy pokonać, a zaczyna się od 15 batów za przejazd do najbliższej stacji. Dla porównania: tyle samo kosztuje podróż promem rzeczonym kursującym po Chao Prayi niezależnie od odległości, którą chcemy przebyć, 15 batów zapłacimy nawet za przepłynięcie wzdłuż całego miasta. Przepaść cenowa między cenami usług komunikacyjnych



na poziomie „wodnym” i „powietrznym” ilustruje stojące za nimi nierówności społeczne.

Oczywiście najczęściej dzieje się na najrozleglejszym, obejmującym całą wschodnią część miasta, poziomie środkowym – poziomie terenu, poziomie zero. To tutaj krzyżują się trajektorie przedstawicieli wszystkich warstw społecznych, a lokale użytkowe w parterach domów nie mają jednej wspólnej grupy docelowej. To tutaj w kilometrowych korkach stoją godzinami na wielopasmowych arteriach pojazdy silnikowe najróżniejszego typu (wcale nie są to jedynie samochody i motocykle!), różnej klasy i w różnym stanie. To tutaj wreszcie wąziutkie chodniki są jednym wielkim bazarem, jadalnią, wyszynkiem i lupanarem jednocześnie: przestrzeni nieustannych handlowych propozycji, negocjacji i transakcji, w wyniku których można tu kupić wszystko za każdą cenę.

Jak łatwo się domyślić, na każdym z tych trzech poziomów miejskiego życia (miejskich poziomów życia?), inaczej wygląda i do czego innego służy przyroda. Jest to w przypadku Bangkoku znacznie bardziej adekwatne słowo aniżeli „zieleń”. Na poziomie dolnym przyroda ma przede wszystkim, co rzadko zdarza się w miastach, charakter totalny. Wdziera się, poprzez wilgoć, nawet do wnętrza nieklimatyzowanych domów z dykty. Ale przy tym jest to również charakter wybitnie użytkowy. Chodzi głównie o pola ryżowe, jak również oczywiście sam system cieków wodnych, który, oprócz funkcji irygacyjnych i komunikacyjnych, ma też znaczenie jako łowisko ryb i miejsce hodowli innych stworzeń. Szczególnym lokalnym przysmakiem są krewetki z Chao Praya. Kto jednak widział kolor wody w tej rzece, ten nie weźmie ich do ust.

Na poziomie górnym przyrody nie ma prawie wcale, jest to wszak niemal oddzielne, sztucznie wyabstrahowane środowisko „życia w lepszych warunkach”. Nawet powietrze, przepuszczone przez klimatyzatory, pozbawione jest tu swych naturalnych parametrów: wilgotności, i temperatury. Gdy już jednak mamy do czynienia z przyrodą na tym poziomie, ma ona charakter rozrywkowy i służy wysublimowanej wzrokowej konsumpcji, np.

w hotelach zdarzają się oranżerie, czasem również w formie ptaszarni z halą wolnego lotu, a w jednej z galerii handlowych znajduje się ogromne oceanarium, w którym jedną z największych atrakcji stanowi... karmienie pingwinów.

Na rozległym poziomie środkowym można odnaleźć wszystkie dobrze znane w Europie, na której wyraźnie się w planowaniu dwudziestowiecznego Bangkoku wzorowano, formy zieleni miejskiej (zieleń uliczna, parki), ale też „przyrodę rozrywkową”, na którą nie starczyło miejsca na poziomie +1 (pola golfowe), oraz kilka osobliwości. Do tych ostatnich należy przede wszystkim Sanam Luang, zlokalizowany w samym sercu najstarszej części miasta, między Pałacem Królewskim a Teatrem Narodowym, gigantyczny plac porośnięty równo przystrzyżoną trawą, na którym odbywają się wszystkie ceremonie królewskie, ale który mieszkańcom Bangkoku służy także jako miejsce organizowania weekendowych pikników, a osobom przybyłym do miasta w poszukiwaniu pracy – za tymczasowe miejsce noclegowe.

Inną osobliwością „przyrodniczą” jest zlokalizowany w południowo-wschodniej części śródmieścia rzekomy „Benjakiti Park”, oznaczony na planie miasta, z którego korzystałem podczas pobytu w Bangkoku, jako „Forest Zone – under construction”. Skuszony wizją obejrzenia budowy lasu w parku, wybrałem się na miejsce, tylko po to, by przekonać się, że to, co wygląda intrygująco na mapie, w terenie okazuje się przekłamaniem i zwyczajnie rozczarowuje. Po pierwsze, cały teren jest ogrodzony i zamknięty. Po drugie, zabudowany budynkami (po)przemysłowymi. Po trzecie, opuszczony, bez śladu podejmowania jakiegokolwiek działalności budowlanej – czy raczej rozbiórkowej. W źródłach internetowych, w tym przypadku bliższych rzeczywistości niż „życzeniowy” plan miasta, sprawdziłem, że to tereny dawnego zakładu monopolu tytoniowego, „przeznaczone [podkreślenie Ł.B.] do przekształcenia w stworzony przez człowieka las deszczowy”. Nie znam się na gospodarce leśnej, ale wydaje mi się, że ten śmiały plan, choć co do idei ciekawy i zapewne słuszny, zważywszy na zanieczyszczenie powietrza w stolicy Tajlandii, jest nie do

zrealizowania przy pomocy tak ekstensywnej strategii, jak zwykłe czekanie, aż las sam wyrośnie.

Opisane osobliwości nie mają jednak szans zmienić dominujący trend: przyroda w Bangkoku na poziomie 0, czyli właściwa „zieleń miejska”, nie może być na dłuższą metę atrakcją dla przyjezdnych z tzw. Zachodu (Europy i Ameryki Północnej), zwłaszcza tych spragnionych egzotycznych wrażeń i nastawionych na szukanie Inności. Składają się na to, moim zdaniem, dwie przyczyny.

Pierwszy powód, który nazwałbym uniwersalnym, to liminalna kondycja wszystkiego tego, co określamy jako „zieleń miejska”: nie przynależy ona ani do świata natury, ani do świata kultury, a umysł turysty i przemysł turystyczny chętnie sięgają po tę dychotomię. Dla backpackerów poszukujących „kontakty z naturą” zieleń miejska jest zawsze zbyt miejska, by można w niej było przeżyć prawdziwą przygodę, a dla sightseerów pragnących „zobaczyć kulturę” w soczewce jej zabytków i eksponatów, zieleń miejska jest zawsze zbyt zielona, by warto było poświęcać jej cenny czas w gonitwie za „największymi atrakcjami”, w którą tak często przeradza się zwiedzanie.

Oczywiście od tej ogólnej zasady istnieją liczne wyjątki: londyński Hyde Park, paryskie ogrody Tuileries czy choćby berlińska aleja Unter den Linden (Pod Lipami) przyciągają rzesze turystów właśnie dlatego, że, obudowane stosownymi narracjami, łączą w oczach zwiedzających porządek natury i kultury, zamiast pozostać poza jednym i drugim, i na tym budują swoją unikalność.

Dochodzimy tu jednak do drugiego, ściśle lokalnego i przez to zasadniczego, powodu niepopularności bangkockiej zieleni miejskiej wśród zachodnich turystów: ona, przynajmniej na pierwszy rzut oka, zbyt bardzo przypomina im (nam) to, z czym mamy do czynienia u siebie na co dzień. Tymczasem chcielibyśmy, żeby inwestycje w podróże, o wymiarze czasowym, jak i ekonomicznym, zwróciły się nam w postaci niepowtarzalnych wrażeń. Poszukujemy więc przede wszystkim różnic. I często na siłę wynajdujemy je! Rzecz jasna, z tego samego powodu – wobec małego popytu ze strony turystów – zieleń miejska pozostaje jedną z ostatnich sfer bangkockiej miejskości niepodporządkowanych spojrzeniu i potrzebom turysty, dzięki czemu służy przede wszystkim mieszkańcom i innym stałym użytkownikom miasta.

Łukasz Bukowiecki – kulturoznawca zainteresowany przede wszystkim Skandynawią i Europą Środkową, doktorant w Instytucie Kultury Polskiej UW. W październiku 2012 roku brał udział w organizowanej w Bangkoku konferencji naukowej.